

TRISHA DAVID

Ożenić się do piątku

Tytuł oryginału

Bride By Friday

Scandalous

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Czy wyjdzie pani za mnie?

- Przepraszam pana... ale ja chyba... niedosłyszałam - wykrztusiła skonster-nowana Tessa Flanagan.

W zasadzie nie miała żadnych problemów ze słuchem. Jednak pytanie postawione przez mężczyznę, którego znała od dokładnie piętnastu minut, to znaczy od chwili kiedy oboje, po przesiadce w Singapurze, zajęli dwa sąsiadujące ze sobą miejsca w samolocie, wydało się jej tak bezsensowne, tak absurdatne, że nie była w stanie zareagować na nie w żaden inny sposób.

Przed piętnastoma minutami przypadkowy towarzysz lotniczej podróży z Melbourne - przez Singapur - do Londynu przedstawił się Tessie Flanagan jako Charles Cameron, po czym wydobyl z pokażnej czarnej teczki o usztywnionych ściankach spory plik jakichś urzędowych dokumentów i natychmiast zajął się ich studiowaniem.

No, a teraz, ni stąd, ni zowąd, zaproponował jej małżeństwo!

Może to wariat? - wystraszyła się. A może obcokrajowiec? - usiłowała w myślach pocieszyć się jakąś sympatyczniejszą alternatywą. Coś mu się pomyliło i zapytał wcale nie o to, o co chciał zapytać...

- Pytałem, czy wyjdzie pani za mnie za mąż - powtórzył płynną, poprawną i całkowicie pozbawioną najdrobniejszych bodaj śladów cudzoziemskiego akcentu angielszczyzną, uśmiechając się przy tym do Tessy po prostu rozbrajająco.

Więc jednak wariat!

I co ja mam teraz zrobić? - zafrasowała się. Wsiąść przecież nie wysiadę doszła do oczywistego na wysokości kilkunastu tysięcy metrów ponad powierzchnią ziemi wniosku. Policji ani pogotowia też nie wezwę, stewardesie nie zamelduję, bo jak ten facet coś usłyszy to jeszcze wpadnie w szal.

Cóż, muszę udawać, że rozmawiam z nim całkiem serio, jak z kimś zupełnie normalnym i cierpliwie czekać, aż ten fatalny lot się skończy. To

tylko chory, nieszczęśliwy człowiek, powinnam sobie z nim poradzić, jestem przecież wykwalifikowaną pielęgniarką, skonstatowała ostatecznie po dokonaniu pośpiesznej analizy sytuacji.

Zdławionym ze zdenerwowania głosem odważyła się wykrztusić:

- Tak... nagle?

Charles Cameron skinął głową.

- Nie mam wyjścia, proszę pani, muszę ożenić, się do piątku - stwierdził z powagą. - Tak wynika z tych oto papierów - dodał gwoli wyjaśnienia i dla dodania swoim słowom urzędowej mocy kilkakrotnie stuknął wskazującym palcem prawej dłoni w dokumenty.

Dokumenty miał na czarnej teczce, czarną teczkę na kolanach. A w teczce co? - zaczęła się gorączkowo zastanawiać, pełna najgorszych obaw i najstraszliwszych przeczuc, zerkając kątem oka na sztywne pudło zaopatrzone w masywny uchwyt i szyfrowy zamek. - Gaz paraliżujący? Pistolet? A może nóż?

- Bo widzi pani, ja mam po prostu nóż na gardle! - kontynuował swój wywód Charles Cameron. - Inaczej nigdy bym przecież nie wyskoczył z czymś takim, jak oświadczyły po kilkunastu minutach znajomości, nie jestem wariatem, zapewniam. No, proszę tylko na mnie spojrzeć! Czy ja może wyglądam na szaleńca?

Przeżrana Tessa Flanagan posłusznie skierowała wzrok na sąsiada.

Brunet, mniej więcej trzydziestoletni, o ujmującym spojrzeniu ciemno-granatowych oczu, długonogi i dość szeroki w ramionach, muskularny i efektownie opalony, ubrany w dżinsy i wzorzystą koszulę z krótkim rękawem, wyglądał na sportowca albo na wysportowanego playboya, ewentualnie na gwiazdora filmów akcji.

Ale obłęd to przecież choroba! - uzmysłowiła sobie Tessa z rezygnacją. A choroba, jak wiadomo, nie wybiera i może dopaść każdego, bez względu na prezencję. Ten przystojniak z całą pewnością jest szaleńcem, chociaż na pierwszy rzut oka wygląda całkiem normalnie. A przystojny wariat, to taki sam wariat, jak każdy inny, tyle tylko, że jeszcze bardziej niebezpieczny.

- Wyglądam na wariata czy nie, pani zdaniem? - z uporem domagał się

odpowiedzi Charles Cameron, wyraźnie zniecierpliwiony przedłużającym się milczeniem sąsiadki.

Zatrwożona Tessa Flanagan nie zdołała wykrztusić ani jednego słowa, tylko na znak zdecydowanego przeczenia pokręciła głową. Po czym przymknęła oczy, starając się zasugerować w ten sposób sąsiadowi, że jest zmęczona, chciałaby się zdrzemnąć i nie ma ochoty na dalszą rozmowę o jego wymaginowanych problemach. Dość miała przecież własnych, jak najbardziej realnych, na domiar złego nękających ją niemal nieustannie już od kilku lat

Najpierw Christine, jej ukochana siostra-bliźniaczka, wyszła za mąż za Anglika, Johna Blaineya, i przeniosła się na stałe z Australii na Wyspy Brytyjskie. Ze względu na ogromną odległość niemal całkowicie zerwała kontakty z rodziną z antypodów.

Potem przewlekłe i niestety nieuleczalnie zachorowała matka. I kiedy, mimo długotrwałej i kosztownej kuracji, matka zmarła, Christine nie zjawiała się nawet na pogrzebie.

A teraz...

Teraz było już po pogrzebie Christine, która kilkanaście dni temu zginęła wraz z mężem w tragicznym wypadku samochodowym i osierociła małego synka, czteroletniego Bena.

Tessa Flanagan leciała właśnie do niego. Za pożyczone pieniądze, zgodnie z odruchem serca, natomiast wbrew dobrem radom Donalda, swego zawsze trzeźwo myślącego i praktycznie działającego narzeczonego. Donald radził, by dała sobie z tym spokój i pozostawiła Bena, którego nawet nigdy nie widziała, pod opieką jego babci, matki Johna Blaineya.

Tessa leciała do Anglii wyczerpana fizycznie i psychicznie bolesnymi przeżyciami, z zaniedbaną blond fryzurą i podkrążonymi oczyma po wielu nie przespanych, przepłakanych od zmierzchu do świtu nocach. Dla wygody ubrała się w workowaty, o numer za duży dres.

Leciała w ciemno, bez zaproszenia, bez bodaj słowa zachęty ze strony Margot Blainey, angielskiej teściowej swojej zmarłej siostry.

Leciała prawie bez gotówki.

No i na domiar złego w kłopotliwym towarzystwie niejakiego Charlesa Camerona, który najprawdopodobniej był wariatem, chociaż nie rzucało się to w oczy!

Charles wyglądał na zupełnie zdrowego człowieka, natomiast ona musiała sprawiać wrażenie osoby ciężko schorowanej, a przynajmniej niedysponowanej, ponieważ ledwie przymknęła oczy, on przeląkł się i zaczął dość natarczywie wypytywać:

- Co pani jest, na litość boską? Czy nie jest pani przypadkiem niedobrze? Albo może słabo? A może ja poprosiłbym stewardesę, by podała pani wodę albo coś mocniejszego do picia?

Zrezygnowana Tessa otworzyła oczy i nie chcąc robić w samolocie zamieszania, mruknęła:

- Nie, nie, dziękuję! Niczego mi nie potrzeba. I nic mi nie jest, proszę pana.

- Naprawdę? - upewnił się Charles.

- Naprawdę - potwierdziła. - Jestem tylko bardzo zmęczona.

- To nawet po pani widać.

- I chciałabym się spokojnie zdrzemnąć.

- Ależ oczywiście! Tylko, proszę pani... - zawahał się przez moment.

- Tak?

- Jak już się pani trochę prześpi, to proszę rozważyć moją propozycję, dobrze?

Niedoczekanie! - pomyślała z irytacją Tessa, ponownie przyzymkając oczy. Na złość będą spała aż do samego Londynu, postanowiła po chwili.

Obudziła się jednak trochę wcześniej, wtulona w coś miękkiego i ciepłego. Tym czymś okazało się... ramię sąsiada, który włożył na lekką koszulę puchaty kaszmirowy pulower i również się zdrzemnął.

- Najmocniej pana przepraszam! - szepnęła Tessa i błyskawicznie się wyprostowała.

- Ech, nie ma za co! - mruknął Charles Cameron. - Proszę się nie kępować i spokojnie spać sobie dalej, jeśli tylko jest pani tak wygodnie.

- Przepraszam pana - powtórzyła Tessa, ignorując życzliwe słowa

zachęty i wzbraniając się skorzystać ponownie z oparcia na męskim ramieniu. – Która właściwie jest godzina? – zapytała.

Charles spojrział na zegarek, fosforyzujący w półmroku, jaki panował we wnętrzu samolotu.

– W Wielkiej Brytanii jest teraz dopiero trzecia w nocy, proszę pani – odpowiedział. – W nocy z niedzieli na poniedziałek.

– A w Australii?

– W Australii, ze względu na znaczną różnicę czasu, mamy już poniedziałkowe południe.

– Nie wypada spać dłużej niż do południa! – stwierdziła Tessa, odsuwając się przezornie od sąsiada najdalej, jak tylko to było możliwe.

– Och, jak widzę, mocno się pani trzyma australijskich realiów.

– No, bo jestem rodowitą Australijką. A pan może jest Anglikiem?

– Cóż, raczej tak. A właściwie, raczej nie! – odparł niejednoznacznie Charles Cameron. – Chociaż mam farmę w Warrnambie.

– A gdzie to jest?

– W stanie Wiktorja, mniej więcej osiemdziesiąt kilometrów od Melbourne, proszę pani.

Tessa Flanagan nie dowiedziała się niczego więcej o przystojnym, choć najprawdopodobniej kompletnie znikowanym australijskim farmerze, który leciał z Melbourne – przez Singapur – do Londynu z czarną teczką pełną dokumentów i z jakichś tajemniczych przyczyn był zmuszony ożenić się do piątku. W samolocie bowiem zapaliło się światło i stewardesy najpierw zaczęły rozdawać pasażerom ciepłe, wilgotne ręczniki do odświeżenia twarzy i rąk, a niedługo potem podały na tacach śniadanie.

Tessa jadła w milczeniu, a jej sąsiad głośno narzekał na jakość masła, sera i jajek, które absolutnie nie dorównywały, jak wielokrotnie zapewniał, wysmienitym produktom nabiałowym pochodzącym z jego własnej farmy w Warrnambie. Dopiero po posiłku Charles Cameron wrócił do tematu małżeństwa.

– Czy wyjdzie pani za mnie? – zapytał słowo w słowo tak samo, jak na początku podróży.

- Nie mogę - odpowiedziała.

Teraz, z uwagi na zbliżające się lądowanie i możliwość skorzystania w razie potrzeby na londyńskim lotnisku z pomocy pogotowia czy policji, była zdecydowanie śmielsza niż poprzednio.

- Ale dlaczego? - zmartwił się Charles. - Przecież ja muszę ożenić się do piątku, a pani chyba nie jest zamężna, bo nie widzę obrączki.

- No i co z tego, że nie jestem zamężna? - obruszyła się Tessa.

- Jako kobieta niezamężna mogłaby pani bez problemów za mnie wyjść, i tyle.

- Ale proszę tylko rozsądnie pomyśleć: jak mogłabym za pana wyjść, skoro zupełnie pana nie znam i w gruncie rzeczy nie wiem, kim pan jest?

- Najgorzej, proszę pani, że ja sam już tego nie wiem tak do końca! - stwierdził mocno zafasowany Charles, kręcąc głową.

- Jak to? - rzuciła zdławionym z emocji głosem. W tym momencie już w stu procentach była pewna, że jej towarzysz podróży jest szaleńcem, dotkniętym fatalną przypadłością, którą lekarze psychiatry określają fachowo mianem dezintegracji psychicznej albo po prostu rozpadem osobowości.

- Ano tak, proszę pani, że jeszcze w zeszłym tygodniu byłem sobie najspokojniej w świecie Charlesem Cameronem, australijskim farmerem z Warrnambie w stanie Wiktorja, hodowcą bydła i producentem nabiału. Ale kilka dni temu dostałem pocztą te wszystkie papiery, które mam teraz w teczce, i dowiedziałem się z nich, że jestem angielskim lordem Dalstonem, w trzynastym pokoleniu dziedzicem arystokratycznego tytułu. I że mogę zostać, jeśli ożenię się do piątku, właścicielem pewnego starego zamku wraz z przyległościami.

Wyjaśnienie, mimo spójności i jakichś tam pozorów sensu, wydało się Tessie na tyle nieprawdopodobne, że jeszcze bardziej utwierdziło ją w przekonaniu o chorobie umysłowej sąsiada.

- To wyjątkowy zaszczyt dla mnie, zwyczajnej australijskiej dziewczyny, siedzieć w samolocie tuż obok autentycznego angielskiego... lorda - odezwała się łagodnym tonem, by niepotrzebnie nie drażnić nieszczęśnika,

ogarniętego najwyraźniej czymś w rodzaju manii wielkości, połączonej z rozdwojeniem jaźni. – Jednak, milordzie, jeśli chodzi o ślub...

– No właśnie!

– To przecież byłby mezalians! Ja jestem tylko zwykłą pielęgniarką.

– Nic nie szkodzi, proszę pani!

– Czyżby?

– Nikt nie zabrania mi ożenku z pielęgniarką czy jakąkolwiek inną niewiastą spoza brytyjskich sfer arystokratycznych. Z tych papierów, które angielscy prawnicy przysłali mi do Warrnambie, wynika tylko, że muszę ożenić się do piątku.

– Ale ja nie mam chęci na małżeństwo, więc proszę ożenić się z kimś innym! – palnęła Tessa.

– Ech, łatwo powiedzieć... – westchnął Charles Cameron ciężko i boleśnie.

Jednak zaniechał dalszych starań o rękę sąsiadki i zagłębiwszy się w swoich papierach, w ogóle przestał się do niej odzywać.

Tessa skorzystała z chwili spokoju i zaczęła w skupieniu studiować materiały informacyjne, przygotowane specjalnie dla niej przez agencję turystyczną z Melbourne, za pośrednictwem której zorganizowała sobie pierwszą w życiu wyprawę do Anglii.

Dotychczas nigdy nie opuszczała Australii, a i tam podróżowała niewiele, bo najdalej dotarła do Sydney. Dlatego spore wrażenie robiła na niej perspektywa samodzielnego poszukiwania w pobliżu lotniska odpowiedniego autobusu, przejazdu nim przez stołeczną metropolię aż do przystanku, który w agencji zaznaczono jej na mapce i wreszcie dojścia od przystanku na piechotę do niedrogiego hoteliku, w którym na czas pobytu w Londynie miała zarezerwowane noclegi ze śniadaniem.

Zapatrzona w plan miasta, na którym grubą kreską zaznaczona była marszruta ze znanego wszystkim turystom, przynajmniej ze słyszenia, portu lotniczego Heathrow do nie znanej pewnie nikomu poza stałymi mieszkańcami Backblow Street, przy której miał się znajdować jej hotel, Tessa Flanagan nie zorientowała się nawet, że Charles Cameron odłożył

swoje papiery i zagląda jej przez ramię.

Dlatego aż podskoczyła w fotelu, kiedy zaproponował jej nagle:

- Ja mogę panią podwieźć, dokąd pani zechce. Na lotnisku ma na mnie oczekiwać lordowska limuzyna z szoferem!

- Dziękuję, nie skorzystam - odpowiedziała, pośpiesznie składając mapę. - Mam z góry opłacony bilet na autobus i nie chcę go zmarnować.

- Oto zapobiegliwość godna podziwu! - zakpił Charles.

Jednak już dłużej nie namawiał Tessy na wspólną jazdę limuzyną przez Londyn.

Wkrótce po lądowaniu rozdzielili się.

Okazało się bowiem, że odprawa paszportowa i celna poddanych korony brytyjskiej odbywa się osobno, a Charles Cameron, australijski farmer z Warrnambie w stanie Wiktorja, ku zdziwieniu Tessy, dołączył bez wahania do rdzennych Brytyjczyków.

- Będę na panią czekał w holu dworca lotniczego - rzucił na odchodnym.

Nie czekał jednak, bo Tessa, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, przeszła przez odprawę znacznie szybciej od niego. Spostrzegłszy z ulgą, że nareszcie uwolniła się od znikowanego natręta, natychmiast popędziła do autobusu, wsiadła do niego i wspięła się na piętro.

Skoro jadę piętrowym autobusem, to znaczy, że na pewno jestem w Londynie! - pomyślała i czym prędzej wydobyła z podręcznej torby plan miasta, by na bieżąco kontrolować przebieg autobusowej trasy i nie przeoczyć przypadkiem przystanku, na którym, wedle wskazówek agenta turystycznego z Melbourne, powinna wysiąść.

Przystanku nie przeoczyła, ale z odnalezieniem hotelu i tak miała mnóstwo kłopotów.

Donald sprawił jej na drogę dwukołowy wózek bagażowy. „Na taksówki wydałabyś w Londynie majątek, a tak poradzisz sobie sama i wcale się nie nadźwigasz”, powiedział, wręczając jej praktyczny prezent.

Niestety, nie przewidział jednak, że w zaułkach starego centrum

Londynu chodniki nie są tak gładkie, jak w nowoczesnym Melbourne. Najpierw odpadło jedno koło bagażowego wehikułu, zaraz potem drugie. Tak więc Tessa była zmuszona nieść w rękach nie tylko cały swój bagaż, ale i ten nieszczęsny wózek, albowiem jakoś nigdzie po drodze nie natknęła się na pojemnik na śmieci, do którego mogłaby go wrzucić.

Był koniec czerwca.

W Australii – zima.

Natomiast na Wyspach Brytyjskich, tak samo jak w całej Europie i w ogóle na całej północnej półkuli ziemskiego globu – lato!

Mimo wczesnej pory dnia, dres okazał się o wiele za ciepłym ubiorem, szczególnie dla osoby obciążonej wózkiem, torbą i walizką. Tessa Flanagan, spocona i zziębnięta, kluczyła więc śródmiejskimi ulicami, przeklinając w duchu londyńskie odległości, europejską pogodę, tandetny wózek i skąpego narzeczonego.

Kiedy wreszcie, mniej więcej po godzinie, odnalazła swój hotel, o wdzięcznej nazwie „Pierwiosnek”, przekleła również agenta turystycznego z Melbourne, który zarezerwował jej w nim noclegi.

Hotel mieścił się bowiem w obskurnym, zaniedbanym i mocno nadgryzionym zębem czasu budynku. Budynek ten był równie odpychający z wyglądu, jak wszystkie inne przy Backblow Street, zakazanej uliczce, przypominającej jako żywo dekoracje do starych filmowych horrorów o Kubie Rozpruwaczu, Mackie'm Majchrze albo dobrym doktorze Jekyllu, który przemieniał się nocami w diabolicznego pana Hyde'a.

Uliczka była kompletnie opustoszała, jeśli nie liczyć tajemniczego czarnego samochodu z przyciemnionymi szybami, który akurat w chwili gdy Tessa dotarła do hotelu, zatrzymał się o kilka kamienic dalej.

Gdyby nie fakt, że bagaże były ciężkie, a noclegi z góry opłacone, łącznie ze śniadaniem – Tessa Flanagan pewnie od razu by uciekła. Jednak skoro uciec nie mogła, musiała się przemóc i zadzwonić do zamkniętych na cztery spusty drzwi hotelu, spoza których wydobywał się aż na ulicę cierpki swąd tłuszczu, mocno przypalonego, a przedtem najprawdopodobniej zjełczalego.

Dość długo nikt nie reagował na kolejne, coraz to bardziej natarczywe dzwonki. Aż wreszcie z głębi budynku rozległo się przerywane kilkakrotnie przekleństwami człapanie, drzwi uchylły się i stanął w nich starszawy, łysawy, nie ogolony i wyjątkowo niechłujny mężczyzna, przyodziany jedynie w pasiaste spodnie od pizamy.

- O co chodzi? - burknął.

- Ja właśnie mam tutaj... nocować... proszę pana - wykrztusiła Tessa zaszokowana powierzchownością hotelarza.

- A rezerwacja jest?

- Oczywiście, że tak! Mam tutaj potwierdzenie z biura podróży, proszę.

Pokazała portierowi stosowny dokument, wystawiony przez agencję turystyczną w Melbourne, a on przekrwionymi oczyma zdeklarowanego amatora mocnych trunków zlustrował najpierw papier, a potem ją samą, od stóp aż po czubek głowy. I dokonawszy lustracji, mruknął:

- Miejsce do spania jest od piątej.

Tessa zerknęła na zegarek ustawiony jeszcze w samolocie na brytyjski czas.

- A jest już siódma - stwierdziła.

- Od piątej po południu - uściślił hotelarz.

- Mój panie! - wybuchnęła. - Ale ja przecież już przyjechałam, i to z drugiego końca świata, bo aż z Australii, z Melbourne! I jestem naprawdę bardzo zmęczona po podróży!

- A co mnie to obchodzi? - burknął i zatrzasnął Tessie drzwi przed nosem.

Z rozżalenia i bezsilnej wściekłości miała ochotę albo się rozpłakać, albo rozwalić pięściami i kopniakami niegościnnie podwoje „Pierwiosnka”, niegdyś zapewne oszklone, a aktualnie, z braku szyb, zabite grubą dyktą.

Zanim zdążyła jednak zrobić cokolwiek, poczuła, że ktoś kładzie jej ciężką rękę na ramieniu.

- Boże! - jęknęła i natychmiast przypomniła sobie z przerażeniem Kubę Rozpruwacza oraz wszystkie inne londyńskie monstra, jakie знаła z filmowych horrorów.

ROZDZIAŁ DRUGI

Mimo przestrachu, a może właśnie dzięki niemu, Tessa również natychmiast przypomniała sobie o kursie samoobrony dla kobiet.

Wraz ze wszystkimi innymi pielęgniarkami ze szpitala w Melbourne, gdzie pracowała, musiała obowiązkowo taki właśnie kurs ukończyć w związku z niebezpiecznym incydem w izbie przyjęć, w wyniku którego jedna z sióstr została podczas ostrego dyżuru dotkliwie poturbowana przez pijanego, awanturującego się pacjenta, uczestnika jakiejś ulicznej bójki na noże.

Podczas kursu uczono ją między innymi, że na każdą bezpośrednią zaczepkę z zaskoczenia, od tyłu, należy reagować natychmiast, nie marnując bezcennego czasu na sprawdzanie, kim jest napastnik i czego dokładnie chce, natomiast koncentrując wszystkie siły na ataku, który stanowi, jak powszechnie wiadomo, najlepszą ze wszystkich możliwych formę obrony.

Tessa zaatakowała więc, gwałtownie i zaciekle, choć poniekąd na oślep!

Zgodnie z instrukcjami swego trenera wyprowadziła cios z półobrotu i rąbnęła napastnika pięścią w twarz, a kiedy odruchowo uniósł dłonie w górę, żeby osłonić głowę przed następnym uderzeniem, dołożyła mu kopniaka w podbrzusze.

„Taka zagrywka powinna na dłuższą chwilę unieszkodliwić każdego normalnego faceta i zapewnić wam wystarczająco dużo czasu na ucieczkę”, powtarzał trener, kiedy Tessa i jej koleżanki ćwiczyły kickboxingową kombinację na postawnym, ale kompletnie niewrażliwym na ból skórzanym manekinie, wypchanym pakułami czy gąbką.

Okazało się, że trener był naprawdę dobrym fachowcem i wcale nie rzucał słów na wiatr!

Napastnik jęknął i, zgięty z bólu wpół, najpierw cofnął się kilka kroków, a następnie, zaczepiwszy obcasem o wystającą płytę chodnikową, potknął się na dokładkę i runął jak długi na trotuar.

Kiedy już leżał na wznak, chwilowo unieszkodliwiony, Tessa, która ze

względu na bagaże nie mogła salwować się ucieczką i chciała ocenić, czy powinna znów zaatakować, czy też może uznać przeciwnika za ostatecznie pokonanego, przyjrzała mu się uważnie.

I rozpoznała... Charlesa Camerona!

- To pan?! - krzyknęła.

- Wiadomo, że nie żaden Kuba Rozpruwacz - wymamrotał, powoli przytomniejąc i z trudem podnosząc się do pozycji siedzącej.

Tessa Flanagan, która wykorzystała w brawurowym ataku całą rezerwę sił, cały żelazny, awaryjny zapas energii, poczuła się nagle całkowicie bezsilna.

I całkowicie zagubiona, i beznadziejnie osamotniona w obcym mieście!

I kompletnie załamana!

I głęboko nieszczęśliwa!

Inaczej mówiąc, poczuła się nagle tak fatalnie, tak źle, tak beznadziejnie, że ni stąd, ni zowąd wybuchnęła głośnym płaczem.

- Mnie boli, a pani wylewa łzy? - zdziwił się Charles Cameron.

- Ja... bardzo pana... za to wszystko... przepraszam - wykrztusiła Tessa.

- No cóż, nie gniewam się.

Charles wypowiedział te pojednawcze słowa z godnym naprawdę lorda Dalstona opanowaniem i filozoficznym spokojem. Po czym z tłumionym jękiem dźwignął się z chodnika i wielkodusznie, nie żywiąc urazy za zadany ból, pozwolił Tessie przytulić się do siebie i wypłakać do woli na swym ramieniu.

- Lepiej pani? - zapytał po jakichś dwóch, a może nawet trzech minutach, kiedy już miał na koszuli całkiem sporą mokrą plamę.

- Lepiej - chlipnęła. - A panu?

- Mnie też - odparł. - Chociaż coś niecoś jeszcze trochę mnie boli... i chyba mam podbite oko...

Tessa spojrzała w górę, ponieważ Charles, mężczyzna słusznego wzrostu, co najmniej metr dziewięćdziesiąt, był od niej zdecydowanie wyższy.

- Mój Boże - jęknęła - rzeczywiście! Zaraz panu zrobię okład, mam w torbie jakieś środki opatrunkowe, jestem przecież pielęgniarką.

- A ja myślałem, że ochroniarzem - mruknął pół żartem, pół serio,

- Ależ skąd! - zaprzeczyła. - Jaki tam ze mnie ochroniarz, chyba taki, jak z pana angielski lord! Skończyłam tylko kurs samoobrony dla kobiet w szpitalu, w którym pracuję.

- Ale ja jestem prawdziwym angielskim lordem, proszę pani - oświadczył z powagą Charles Cameron. - I naprawdę powinienem ożenić się do piątku. Najchętniej z panią!

- Znów mnie pan straszy?

- Jak to? - zdziwił się. - Rozumiem, że mógł panią przestraszyć ten roznegliżowany hotelarz. Ale ja? Niby w jaki sposób?

- Kiedy pan tak powtarza, że jest pan lordem i musi się ożenić do piątku, to ja, niestety, mam wrażenie, że postradał pan zmysły! - palnęła prosto z mostu, nie bawiąc się już dłużej w dyplomację.

- No, też coś! - obruszył się Charles. - Czy ja wyglądam na wariata?

- Na lorda też nie!

- Bo jeszcze się nie przyzwyczailem, proszę pani. Ale mam już lordowską limuzynę z szoferem. - Wskazał na stojącego nieopodal czarnego jaguara z przyciemnionymi szybami. - I mam tutaj, w Londynie, w wytwornej dzielnicy Belgravia, wygodny apartament z czterema sypialniami. Chętnie pani jedną odstąpię na czas pobytu, bez żadnych kosztów i zobowiązań.

- Widzę, że ma pan bardzo dobre serce...

- I wielkopański gest! Dlatego panią zapraszam.

- Ale ja... Ja nie mam odwagi skorzystać z tego pańskiego zaproszenia, prawdę mówiąc - przyznała się otwarcie Tessa.

- Boi się pani?

- Niestety.

- Z takim ciosem i kopem? To przecież raczej ja powinienem trząść się ze strachu, przyjmując panią pod swój dach - stwierdził ze śmiechem Charles. - Zaręczam, że nie ryzykuje pani więcej, jadąc do mnie, niż

wchodząc do tej spelunki, która zupełnie nie wiadomo z jakiej racji nosi wdzięczną nazwę „Pierwiosnek”.

Tessa spojrzała na załatane dyktą drzwi i pozasłaniane gazetami okna hotelu, w którym niefrasobliwy, a może po prostu nieuczciwy agent turystyczny z Melbourne zarezerwował jej noclegi ze śniadaniem i z góry pobrał za to opłatę, prawda, że niewygórowaną, ale jednak. I przypomniała sobie niechlujnego, zapijaczonego mężczyznę w spodniach od pizamy, który najpierw zlustrował ją bezczelnym wzrokiem lubieżnika, a potem kazał jej czekać na wolne łóżko do piątej.

- Jedziemy do mnie? - spytał Charles.

- Nie wiem, co Donald by na to powiedział... - zafrasowała się, wciąż pełna wątpliwości.

- Kaczor Donald?

- Nie żaden kaczor, proszę pana, tylko mój narzeczony!

- Ach, tak. Cóż, jeśli narzeczony wołałby raczej widzieć parną w domu schadzek ukrytym pod szyldem hotelu niż w eleganckim apartamencie, należącym do prawdziwego lorda, a więc człowieka honoru, to proszę sobie tutaj zostać, na własne ryzyko.

Tessa spojrzała w głąb Backblow Street, ulicy nad wyraz ponurej i wyjątkowo opustoszałej, pewnie dlatego, że mało kto spośród londyńczyków miał odwagę się w nią zapuszczać nawet za dnia i zdecydowała:

- Jadę z panem!

Po mniej więcej piętnastu minutach dosyć powolnej jazdy zatłoczonymi w porze porannego szczytu londyńskimi ulicami, elegancki czarny jaguar, prowadzony płynnie i majestatycznie przez milczącego dżentelmena pod sześćdziesiątkę, przyodzianego w szoferski uniform z błyszczącymi guzikami i szoferską czapkę z lakierowanym daszkiem, zatrzymał się przed trzypiętrowym budynkiem w neogotyckim stylu, który przypominał z wyglądu raczej pałac niż zwyczajną miejską kamienicę.

- Jesteśmy już na miejscu - poinformował Charles Cameron. - Zaznaczam, że do lorda Dalstona należy tylko trzecie piętro.

- Tylko trzecie!

- Niestety. I uprzedzam, że lord Dalston nie ma przy domu prywatnego ogrodu. Jest tylko miejski park po drugiej stronie ulicy.

- Tylko park! - odezwała się tym samym, co poprzednio, ironicznym tonem.

- Pani ze mnie kpi?

- Myślałam, że raczej pan ze mnie.

- Skądże znowu! - zaprzeczył energicznie. - Nie chciałem tylko, żeby po wysłuchaniu moich opowieści o lordowskiej schedzie, którą mam szansę odziedziczyć, jeśli zdołam ożenić się do piątku, poczuła się pani rozczarowana tym miejscem.

- Też coś! - obruszyła się Tessa. - Przecież to miejsce jest po prostu piękne! Ten dom, ta ulica, ten park...

- W takim razie zapraszam do środka, do londyńskiej siedziby lorda Dalstona. Zaznaczam, że jest urządzona wedle gustu mojego świętej pamięci stryja, więc proszę nie mieć do mnie pretensji.

- Ten pański stryj był dwunastym lordem Dalstonem, czy tak? - zapytała Tessa, zaczynając już po trosze wierzyć w arystokratyczne pochodzenie poznanego w samolocie farmera.

- Zgadza się! Świetnie to pani wydedukowała - stwierdził z uznaniem Charles. - Ponieważ stryj zmarł bezpotomnie, a mój ojciec, jego młodszy brat, też już nie żyje, wobec tego ja, jako najstarszy mężczyzna w rodzie Cameronów, dziedzicę po stryju lordowski tytuł i ewentualnie ten historyczny zamek z przyległościami, o czym już pani wspomniałem w samolocie.

- Ewentualnie?

- O ile ożenię się do piątku, a przynajmniej zaręcę. Bo na ożenek mam właściwie czas do trzydziestki - uściślił Charles.

- A kiedy ją pan kończy?

- Za sześć tygodni.

- „Za sześć tygodni” brzmi trochę mniej po wariacku niż „do piątku” - zauważyła Tessa.

- Niezmiernie miło mi to słyszeć, proszę pani! - szczerze ucieszył się Charles Cameron, trzynasty z kolei lord Dalston. - I miło mi zaprosić panią do środka, na pokoje.

Zostawili bagaże do wniesienia szoferowi, wysiedli z samochodu i weszli do holu wspólnego dla wszystkich lokatorów ekskluzywnej kamienicy. Staroświecką windą, przestronniejszą niż niejeden pokój mieszkalny w nowym budownictwie, wjechali na ostatnie, trzecie piętro.

W otwartych szeroko drzwiach lordowskiego apartamentu czekała już na nich niewysoka, dość korpulentna niewiasta w ciemnej sukni i śnieżnobiałym, mocno nakrochmalonym fartuchu z falbankami.

To znaczy czekała na Charlesa, jego bowiem porwała natychmiast w objęcia, wykrzykując:

- Pan Charlie przyjechał! Dzięki Bogu, nasz pan Charlie jest znów z nami!

Charles Cameron najpierw dał się do woli wyściskać rozradowanej, zażywej kobiecie, następnie wycałował ją kilkakrotnie w obydwie pulchne policzki i w końcu zaprezentował jej Tessę.

- Mary - powiedział - to jest panna Tessa Flanagan z Melbourne, którą znaleźliśmy z Henrym na Backblow Street i której oczywiście nie mogliśmy tam zostawić, Tessie natomiast wyjaśnił:

- Panno Flanagan, to jest Mary, czyli pani Robertson, w jednej osobie nasza kochana, cudowna gospodyni oraz uroczą małżonka naszego wspaniałego kierowcy i mojego osobistego kamerdynera, Henry'ego Robertsona.

Onieśmielona Tessa uśmiechnęła się trochę niewyraźnie do gosposi, która najpierw przyjrzała się jej uważnie, a potem, doszedłszy widać do wniosku, że na podejrzaną Backblow Street musiała się znaleźć w wyniku jakiegoś nieporozumienia, powiedziała:

- Ulokujemy panią w pokoju błękitnym, panno Flanagan, mam nadzieję, że będzie tam pani wygodnie. Pan nie ma nic przeciwko temu, milordzie, prawda? - zwróciła się do Charlesa.

- Oczywiście, że nie - odpowiedział.

- A nie będzie pan miał nic przeciwko temu, że zapytam, kto podbił panu oko?

- Oczywiście, że nie - powtórzył. - Oko podbiła mi osobiście panna Flanagan. - Wskazał na sąsowiałą ze wstydu Tessę.

- Jak to, milordzie?

- No cóż, ta dzielna dziewczyna myślała, że próbuję ją napastować na Backblow Street. Dlatego nie mam do niej nawet odrobiny żalu.

- Oj, panie Charlie! - westchnęła gospodyni, kiwając głową. - Że też pan zawsze musi szukać guza!

- Taki już jestem, moja kochana Mary - stwierdził z rozbrajającym uśmiechem, rozłożywszy szeroko ręce. - Taki już jestem, że ani trochę nie boję się ryzyka!

- Proszę zatem rozgościć się w pokoju stryja.

Charles spowaźniał. Przez chwilę w widoczny sposób wahał się, rozważając gorączkowo wszystkie „za” i „przeciw”. W końcu jednak kiwnął potakująco głową i mruknął:

- Niech będzie. Mam nadzieję, że stryj nieboszczyk nie będzie próbował mnie straszyć.

W błękitnym pokoju gościnnym, do którego Mary zaprowadziła Tessę, znajdował się błękitny dywan, błękitne zasłony i łóżko z błękitnym baldachimem.

Bezpośrednio do pokoju przylegała elegancka łazienka z ogromną wanną i pełnym wyposażeniem kąpielowym.

- Proszę się teraz odświeżyć po długiej i z pewnością męczącej podróży, moje dziecko - zachęciła oszołomioną Tessę gospodyni. - Wszystko tutaj jest do pani dyspozycji. Życzę przyjemnej kąpieli.

Kąpiel w gorącej wodzie i pachnącej pianie okazała się tak przyjemna dla zmęczonego wielogodzinną podróżą ciała i tak kojąca dla skołatanych nerwów, że Tessa w ogóle nie miała ochoty z niej wyjść. Leżałaby więc pewnie w wielkiej wannie do wieczora, rozmyślając o niebieskich migdałach

i przyglądając się przyozdobionemu misterną sztukaterią sufitowi, gdyby nie Mary, która po jakimś czasie energicznie zastukała w drzwi łazienki, zapraszając na śniadanie.

- Już idę, pani Robertson. Jedną chwileczkę - odezwała się Tessa, nie mając jakoś śmiałości, wzorem Charlesa, zwracać się do znacznie starszej od siebie gospodyni po imieniu.

Wyszła z wody i wytarła się do sucha ogromnym, puszystym i pachnącym ręcznikiem kąpielowym. Po czym rozczesła włosy, włożyła biały szlafrok, zawieszony na drzwiach łazienki, i przeszła do pokoju, żeby rozejrzeć się za swoim ubraniem.

Niestety, nie znalazła w pokoju nic własnego, tylko gościnne kapcie ustawione przy łóżku, tak samo śnieżnobiałe, jak szlafrok, który miała na sobie i identycznie przyozdobione czerwonym monogramem w kształcie wielkiej litery „D”.

„D” jak „Dalston”? - zaczęła się zastanawiać z odrobiną niepokoju. A może „D” jak Dracula?

Włożyła kapcie, mocniej otuliła się szlafrokiem, na szczęście grubym, obszernym i sięgającym jej aż do samych kostek i chcąc się trochę rozejrzeć, wysunęła się z pokoju na korytarz.

Od razu natknęła się na Charlesa Camerona. Stał w drzwiach pokoju usytuowanego po przeciwnej stronie holu, przyodziany dokładnie tak samo, jak ona, w biały szlafrok i białe kapcie z monogramem. Tyle że jemu, ze względu na wzrost, szlafrok sięgał jedynie do kolan, a ze względu na szerokie ramiona i atletyczną budowę, mocno rozchyłał się na torsie.

- Czyżby pańskie ubranie również zniknęło, milordzie? - spytała Tessa.

- I owszem! - odpowiedział z uśmiechem. - Nasza kochana Mary zawsze starannie pierze i prasuje wszystkie rzeczy, przywiezione przeze mnie z Australii, nawet te całkiem czyste, z walizki.

- Dlaczego?

- Uważa - wyjaśnił Charles - że po przylocie z antypodów trzeba odświeżyć i zdezynfekować cały bagaż, bo „diabli wiedzą, kto w nim po drodze grzebał”.

- Więc moim bagażem też się zajęła?

- Najwidoczniej. Uznała to za konieczne, tym bardziej że nie tylko przyleciał z Australii, ale trafił po drodze na Backblow Street.

- Ale jak ja mam teraz usiąść do śniadania bez ubrania? - zafrasowała się Tessa, mimowolnie mówiąc do rymu.

- Tak, jak i ja, proszę pani, w tym pełnym uroku bielutkim szlafroku - odparł ze śmiechem Charles. - Nie widzę innego wyjścia.

Poranny posiłek dla dwojga gospodyni podała w salonie jadalnym. Był to obszerny, chłodny i nieprzytulny pokój, umeblowany cennymi antykami i przyozdobiony oprawionymi w złote ramy familijnymi portretami oraz obrazami starych mistrzów, z palisandrowym stołem na co najmniej dwanaście osób, ustawionym pośrodku.

- Mary, dlaczego nie możemy usiąść do śniadania jak normalni ludzie, w kuchni? - zapytał Charles. - Tutaj człowiek czuje się jak w muzeum, a w muzeum nie wypada przecież jeść!

- A jednak pański świętej pamięci stryj, dwunasty lord Dalston, zawsze tu jadał, nawet w pojedynkę, a co dopiero z gośćmi - zauważyła gospodyni.

- Stryj jadał, a ja nie będę! - obruszył się trzynasty lord. - W końcu, odziedziczyłem po nim tylko tytuł, a nie kompletny zestaw pretensjonalnych arystokratycznych przyzwyczajęń.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Jak to właściwie jest z tym pańskim tytułem lorda? - zapytała Tessa przy pysznej, aromatycznej kawie, którą delektowali się, siedząc w przytulnej, widnej i nowoczesnie urządzonej kuchni, gdzie wcześniej zjedli doskonale śniadanie.

- Odpowiem, ale pod jednym warunkiem.

- Jakim?

- Jeśli najpierw przejdziemy na ty.

- Zgoda.

- Więc od tej chwili proszę mówić mi Charlie, panno Flanagan - zażyczył sobie z uśmiechem Charles Cameron.

- W takim razie proszę mówić mi Tessa. Jak to więc jest z tym twoim tytułem, Charlie?

- Odziedziczyłem go po stryju, który był starym kawalerem i odszedł z tego świata bezpotomnie.

- Ten stryj był bratem twego ojca, tak? - upewniła się Tessa.

- Nie inaczej. Ale zupełnie do niego niepodobnym - podkreślił Charles.

- Mój tata, gdy tylko doszedł do pełnoletności, wziął z rodowej fortuny to, co mu się należało i wyjechał do Australii, gdzie kupił farmę i ożenił się z Amerykanką, czyli z moją mamą.

- A stryj?

- Stryj tkwił na Wyspach Brytyjskich przez całe życie sam jak palec i miał mojemu ojcu za złe, że po pierwsze: popełnił mezalians, a po drugie: nie uszanował arystokratycznych tradycji i wziął się za uprawę roli i hodowlę bydła, jak jakiś prosty chłop.

- Twój stryj musiał być człowiekiem... strasznie wymagającym! - zauważyła Tessa.

- O, tak! - potwierdził Charles. - Za to mój ojciec był po prostu człowiekiem zadowolonym ze swego życia. Przeżyli z mamą wiele szczęśliwych lat. I nawet zmarli prawie jednocześnie, bo w kilkutygodniowym zaledwie odstępie, więc tata nie musiał się zbyt długo smuć

na tym świecie jako wdowiec. Nie żyją już od dwóch lat...

- Twoi rodzice mieli tylko ciebie?

- Tak, nie mam żadnego rodzeństwa. Przejąłem po rodzicach farmę, tak jak po stryju tytuł. Jestem w tej chwili jedyny z rodu Cameronów. Dlatego, żeby nasz historyczny ród nie zaginał, muszę się ożenić.

- A twój stryj po kim odziedziczył tytuł? - spytała pośpiesznie Tessa, starając się zmienić kontrowersyjny temat zadekretowanego stryjowskim testamentem ożenku Charlesa na jakiś inny, bardziej neutralny.

- Po moim dziadku, jedenastym lordzie Dalstonie.

- Znałeś go?

- Oczywiście. Dziadek był dosyć długowieczny, zmarło mu się dopiero osiem lat temu. Uwielbiał mnie... Za to stryj mnie nie cierpiał.

- Dlaczego?

Charles uśmiechnął się dość figlarnie i pół żartem, pół serio wyjaśnił:

- Kiedy miałem dziewięć lat i przyjechałem do Anglii na wakacje, stłukłem dreздеńską wazę.

- Fatalnie! - Tessa złapała się za głowę, udając oburzenie.

- I razem z psami dziadka ganiałem po pokojach tłustą kocicę stryja.

- Niegrzecznie! - Pogroziła Charliemu palcem.

- Dlatego właśnie ten, jak powiedziałaś, strasznie wymagający człowiek, uznał mnie raz na zawsze za nicponia i urwipolcia.

- Słusznie!

- I dlatego pewnie po latach, spisując testament, doszedł do wniosku, że rodowe dobra będę mógł przejąć tylko wtedy, gdy znajdę się w odpowiednim czasie pod kuratelą żony. Więc proponuję ci małżeństwo!

- Nie! - otwarcie zaprotestowała Tessa, z emocji oblewając się rumieńcem. - Nie chcę.

- Z powodu Donalda?

- I z tysiąca innych powodów! Ten pomysł z małżeństwem to szaleństwo. Ja naprawdę nie mogę sobie na coś takiego pozwolić, ja po prostu... - Tessa pogubiła się trochę w argumentacji i na moment umilkła.

- No, po prostu nie mam czasu! Muszę odzyskać moje ubranie i pędzić.

Mam ważne spotkanie dziś po południu, w Kensington. A nawet nie wiem, gdzie to jest!

- Jakies dziesięć minut drogi stąd, na piechotę.

- Naprawdę tak blisko?

- W ciągu kwadransa dojdiesz do najodleglejszego punktu tej dzielnicy - zapewnił Charles. - A z kim masz się tam spotkać? - zapytał.

- Z prawnikiem Christine... mojej siostry - odpowiedziała Tessa łamiącym się ze wzruszenia głosem. - Wiesz... ona w ubiegłym tygodniu... zginęła w wypadku samochodowym pod Londynem... razem z mężem, Anglikiem. Na pogrzeb nie zdążyłam. Ale musiałam przyjechać, chociaż Donald mi odradzał... Chciałam przynajmniej stanąć nad jej świeżym grobem. Uważasz pewnie, że to głupie, prawda?

- Wcale nie! Kiedy umarł mój dziadek, byłem akurat w Ameryce, u krewniaków mamy. Stryj mnie nie zawiadomił o pogrzebie, o śmierci dziadka, dowiedziałem się dopiero po dwóch tygodniach. Ale musiałem przyjechać, żeby chociaż stanąć nad grobem. Po prostu czułem taką potrzebę! Dlatego cię rozumiem.

- Chyba tylko ty jeden - westchnęła Tessa.

- A widzisz! Dlatego moglibyśmy...

- Charlie, nie!

- Moglibyśmy pójść razem do tego prawnika w Kensington, żebyś czuła się pewniej - dokończył Charles. - Chodzi o spadek?

- Nie - zaprzeczyła Tessa. - Chodzi o Bena.

- A kim on jest?

- Moim siostrzeńcem, synkiem Christine. Ma dopiero cztery lata.

- I pozostał po śmierci rodziców bez opieki?

Tessa pokręciła głową.

- Jest ze swoją babcią, panią Margot Blainey - wyjaśniła. - Tylko że ona... - zawahała się.

- Tak?

- Ona wcale nie chce, żebym ja się z nim w tej chwili kontaktowała.

- Dlaczego?

- Twierdzi, że Ben może przeżyć szok na mój widok. Bo ja i Christine jesteśmy... to znaczy byliśmy... bliźniaczkami, byliśmy identyczne, rozumiesz!

- Owszem - potwierdził Charles. - I ty chcesz przez prawnika nakłonić panią Blainey, żeby ci pozwoliła spotkać się z siostrzeńcem, tak?

- Chcę spróbować.

- Spróbujemy razem. Jednak, aby nabrać sił przed batalią, musimy się teraz trochę zdrzemnąć - zdecydował.

Kiedy po trzech godzinach Tessa zbudziła się z drzemki w błękitnym pokoju, znalazła w szafie i komodzie wszystkie swoje rzeczy, starannie uprane i wyprasowane. Mogła więc ubrać się w letni lniany kostiumik, przywieziony specjalnie jako strój „oficjalny” na spotkanie z prawnikiem.

- Wyglądasz jak prawdziwa bizneswoman - stwierdził pół żartem, pół serio Charles, kiedy zobaczył ją w holu.

- A ty jak prawdziwy biznesmen - odwzajemniła się pięknym za nadobne, widząc go w ciemnym garniturze.

- Och, to fatalnie! - zafrasował się.

- Czemu?

- No, bo ja przecież powinienem chyba wyglądać jak prawdziwy lord!

Chcąc dodać sobie lordowskiego splendoru, Charles zdecydował, że do kancelarii prawniczej „Scott, Scott i McPherson”, mieszczącej się w dzielnicy Kensington, nie pójdą na piechotę, tylko pojedą limuzyną. Tessa miała się tam spotkać z mecenasem Edwardem Scottem, tym drugim w kolejności na szyldzie i nieco mniej ważnym, bo ten pierwszy i najważniejszy miał na imię Walter.

Jazda, ze względu na konieczność kilkakrotnego wyczekiwania w ulicznych korkach, zajęła oczywiście znacznie więcej czasu niż mogłoby zająć ewentualny spacer, ale pozwoliła Tessie i Charlesowi wkroczyć do kancelarii z odpowiednią godnością.

Ich majestatyczne wejście zrobiło być może pewne wrażenie na sekretarce, jednak niestety nie na samym mecenasie, gdyż ten po prostu

najbardziej szczerze w świecie spóźnił się na spotkanie o piętnaście minut.

Przesiedzieli ten kwadrans na niewygodnych krzesłach w poczekalni.

A w gabinecie – gdy wreszcie ich tam wpuszczono – zostali posadzeni przez mecenasa Edwarda Scotta w równie niewygodnych fotelach i powitani wypowiedzianą niezwykle chłodnym tonem formułą:

– W czym mogę być państwu pomocny?

– Ja jestem siostrą Christine Blainey, moje nazwisko Flanagan, a to pan Charles Cameron... – zaczęła Tessa drżącym ze zdenerwowania głosem.

– Miło mi – rzucił bez przekonania adwokat. – Czym mogę państwu służyć?

– Chcielibyśmy... to znaczy ja chciałabym... spotkać się z moim siostrzeńcem, który po tragicznej śmierci rodziców pozostaje pod opieką babci, pani Margot Blainey. Zarówno moja siostra, jak i jej teściowa, były... to znaczy są... klientkami tej kancelarii prawniczej.

– Zgadza się.

– Dlatego chciałabym prosić właśnie pana o pomoc w doprowadzeniu do spotkania z siostrzeńcem.

Mecenas Edward Scott zmierzył Tessę lodowatym spojrzeniem, pomyślał w milczeniu dłuższą chwilę i w końcu stwierdził:

– Nie mogę pani pomóc, panno Flanagan.

– Dlaczego?

– Pani Blainey złożyła zastrzeżenie, że dziecko...

– Więc proszę umożliwić mi spotkanie z panią Blainey! – zniecierpliwiała się Tessa.

Adwokat wzruszył ramionami.

– Proszę do niej pojechać, jeżeli dysponuje pani wolnym czasem – mruknął.

– Ale ja nie znam jej adresu, tylko numer telefonu w Newcastle.

– Adresu pani nie podam, panno Flanagan! Obowiązują mnie przepisy o ochronie danych osobowych moich klientów, a pani Blainey dodatkowo zastrzegła...

– Chwileczkę! – odezwał się milcząco dotąd Charles, przerywając

prawnikowi.

Mecenas Edward Scott zmierzył jego z kolei lodowatym spojrzeniem i rzucił wyraźnie zdegustowany:

- Tak?

- Skoro w niczym innym nie jest pan w stanie nam pomóc, prosimy o niezwłoczne zapoznanie nas z testamentem pani Blainey - stwierdził Charles.

- Słucham???

Dotychczasowa mina, lekko znudzona, mocno nadęta i profesjonalnie beznamiętna, zniknęła nagle z oblicza adwokata, ustępując miejsca grymasowi bezgranicznego zdziwienia.

- Chcemy zapoznać się z testamentem pani Blainey - powtórzył Charles.

- Ale przecież... pani Blainey... jeszcze żyje - wyjąkał mecenas Scott.

- Mam na myśli panią Christine Blainey - podkreślił Charles, wyjaśniając nieporozumienie. - Zmarłą tragicznie w wypadku samochodowym bliźniaczą siostrę tu obecnej panny Flanagan.

Mecenas Edward Scott nerwowo odchrząknął.

- Obawiam się - stwierdził z wyraźnym zakłopotaniem - że ten dokument ma przy sobie mecenas Walter Scott, a on akurat wyjechał służbowo z Londynu.

- I wywiózł testament, wiedząc, że siostra zmarłej ma umówione spotkanie z panem tu, w kancelarii, i przyjeżdża na nie specjalnie aż z Australii?

- Obawiam się, że tak.

- Więc proszę natychmiast zadzwonić do mecenasa Waltera Scotta.

- Po co?

- Niech nam niezwłocznie prześle ten testament do Londynu faksem z miejsca, gdzie w tej chwili jest - zażądał Charles.

- Obawiam się, że to może trochę potrwać.

- Poczekamy! Tutaj, w pańskim gabinecie - podkreślił Charles.

- Poczekacie państwo?

- Poczekamy.

- A właściwie, dlaczego obydwójce? - spytał adwokat, zmieniając nagle ton z profesjonalnie ugrzecznionego na napastliwy i arogancki. - Kim pan jest dla panny Flanagan, że w tak osobistej sprawie, jak ta, którą się w tej chwili zajmujemy, zabiera pan głos w jej imieniu?

Zakłopotana Tessa już otwierała usta, żeby jakoś wyjaśnić adwokatowi, dlaczego nie przyszła na spotkanie sama, tylko w towarzystwie obcego w gruncie rzeczy mężczyzny, jednak zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, Charles Cameron stwierdził tyleż dobitnie, co lakonicznie:

- Jestem narzeczonym panny Flanagan. A oto moja wizytówka!

Adwokat spojrział najpierw na Tessę, a ona zarumieniła się zafrasowana, nie mając pewności, czy dla dobra sprawy powinna wejść w rolę, tak bezceremonialnie narzucaną jej przez Charlesa, czy jednak, bez względu na wszystko, powinna się od niej odżegnać.

Następnie adwokat spojrział na wizytówkę.

I wtedy... sam się gwałtownie zarumienił, i na dodatek aż się spocił z emocji!

- Lord Dalston? - wykrztusił, ocierając czoło kraciastą chustką do nosa. - To pan jest lordem Dalstonem?

- Trzynastym z kolei lordem Dalstonem, mój panie - z prawdziwie arystokratyczną godnością i stoickim spokojem stwierdził Charles.

- Chylę czoło.

- Mam do dyspozycji swoich własnych doradców prawnych i wiem od nich doskonale, czego moja narzeczona powinna żądać od pana, mecenasie, jako przedstawiciela kancelarii, która zajmuje się sprawami jej zmarłej siostry oraz małoletniego siostrzeńca, przetrzymywanego gdzieś tam w ukryciu przez babkę.

- Ależ, milordzie! Starsza pani Blainey wcale nie przetrzymuje małego Bena w ukryciu, jak był się pan łaskaw wyrazić, tylko troskliwie się nim opiekuje w swoim domu w Newcastle.

- Aż tak troskliwie, jak pan i pański wspólnik testamentem Christine?

Adwokat zrobił się jeszcze czerwieńszy niż przed chwilą i powtórnie

otarł kraciatą chustką kroplisty pot z czoła.

- Ja... przepraszam... - bąknął. I pośpiesznie opuścił gabinet.

- Dlaczego bez uzgodnienia ze mną podajesz się za mojego narzeczonego? - zapytała z wyrzutem Tessa, kiedy zostali sami.

- Wyłącznie dla twojego dobra, moja droga! - odpowiedział Charles.

- Jak to?

- Przecież inaczej ten bubek Scott wyprosiłby mnie z gabinetu, a ciebie by zbył byle czym i odprawił z kwitkiem.

- No, może...

- Tymczasem ta sprawa testamentu twojej siostry - kontynuował Charles - tak szczerze mówiąc, wcale mi się nie podoba.

- Dlaczego?

- Wygląda na to, że starsza pani Blainey coś knuje, a tutejsi prawnicy starają się jej w tym pomóc!

- Myślisz?

- Ba, jestem prawie pewien! Ale nie uprzedzajmy faktów, poczekajmy cierpliwie na testament.

Czekali nie więcej niż dziesięć minut. Mecenas Edward Scott ostrożnie, jakby z obawą, wsunął się do gabinetu i drżącą ręką podał Tessie arkusz zadrukowanego papieru.

Przeczytała w skupieniu. A potem bez słowa przekazała dokument Charlesowi Cameronowi.

- No, więc to tak! - wykrzyknął, kiedy się z nim zapoznał.

- Ale dlaczego Christine zdecydowała... - wykrztusiła Tessa.

- Starsza pani Blainey musiała jej dać powody!

- Starsza pani Blainey zamierza sądownie obalić ten testament, milordzie - wtrącił adwokat.

- Naprawdę, mecenasie? - z udawanym zdziwieniem odezwał się Charles.

- Jak najbardziej.

- Osobiście nie sądzę, by jej się to udało.

- Cóż, milordzie...

Charles Cameron nie pozwolił adwokatowi dojść do głosu.

- No, bo przecież - kontynuował ze swadą - tu jest wyraźnie, czarno na białym napisane: „W przypadku, gdyby mój mąż zmarł wcześniej ode mnie, przekazuję po śmierci wszystko, co posiadam, mojemu synowi Benjaminowi, a wyłączną opiekę nad nim i jego mieniem powierzam, do osiągnięcia pełnoletniości, mojej siostrze Tessie Flanagan”.

- A jednak pani Blainey ma prawo wnieść sprawę do sądu - nie dawał za wygraną adwokat.

- Podobnie jak moja narzeczona ma pełne prawo spotkać się z siostrzeńcem, bezprawnie przetrzymywanym w ukryciu przez babkę!

Charles Cameron niemal dokładnie powtórzył stwierdzenie, które wypowiedział już kilkanaście minut wcześniej. Jednak reakcja adwokata była teraz zupełnie inna, niż poprzednio.

- O ukrywaniu małego Benjamin absolutnie nie ma mowy, milordzie! - zapewnił mecenas Edward Scott. - Jeżeli tylko państwo sobie życzą, to ja natychmiast przekażę państwu adres w Newcastle, pod jakim przebywa, pod troskliwą opieką babci, siostrzeniec panny Flanagan.

- I co teraz?

Takie oto ogólne pytanie postawił Charles Cameron, kiedy znaleźli się na londyńskiej ulicy, przed kancelarią prawniczą „Scott, Scott i McPherson”. Mieli adres pani Margot Blainey w Newcastle, wypisany przez mecenasa drżącą ręką na firmowym papierze, a także przekazane przez niego Tessie klucze do domu Christine i Johna Blaineyów w miejscowości Greyrigg Rise.

- Pojedziesz do Newcastle? - uściślił.

- Raczej tak.

- A wyjdiesz za mnie za mąż?

- Daj spokój! - prychnęła Tessa. - Już koniec tego idiotycznego udawania narzeczeństwa! Jestem ci bardzo wdzięczna, że tak zręcznie przycisnąłeś do muru tego krętacza Scotta, ale...

- Za Scotta podziękuj raczej Henry'emu Robertsonowi! - przerwał jej Charles.

- Henry'emu? - zdziwiła się.

- Gdyby mi nie zamówił i nie dostarczył na czas nowych wizytówek, nic bym nie wskórał u mecenasa. Jeśli nie wszędzie na świecie, to przynajmniej tu, w Anglii, mam jako lord Dalston znacznie większą siłę przekonywania niż jako Charlie Cameron, farmer z Australii.

- Lord czy nie lord, do małżeństwa mnie nie przekonasz! - stwierdziła Tessa.

- Dlaczego?

- Bo jestem zdecydowana wyjść za mojego Donalda.

- A czy twój Donald jest zdecydowany wziąć pod opiekę Bena? - palnął Charles.

Tessa zmieszała się, zarumieniała i opuściła w milczeniu głowę.

Narzeczony tłumaczył jej bowiem przez cały czas przed wyjazdem, że małemu będzie najlepiej pod opieką babci, a ona, jako ciocia z antypodów, powinna go tylko odwiedzać, a i to niezbyt często, bo przelot kosztuje majątek.

- I co teraz? - Charles łagodnym, absolutnie nie złośliwym tonem powtórzył pytanie, zadane Tessie przed chwilą, bezpośrednio po wyjściu z kancelarii.

- Pojadę jutro do Newcastle i sprawdzę, co się dzieje z Benem - odpowiedziała. - A potem obejrzę dom Christine, który podobno odziedziczyłam.

- Też w Newcastle?

- Nie, na prowincji, ale w miarę niedaleko. W Lake District, krainie jezior.

- Naprawdę w Lake District?! - wykrzyknął Charles.

- A cóż w tym niezwykłego?

- Tylko to - odparł z figlarnym uśmiechem - że w tej samej okolicy znajduje się mój zamek.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Ponieważ lordowska limuzyna nie czekała przed kancelarią prawniczą „Scott, Scott i McPherson”, bowiem Charles stwierdził, że nie chce narażać szofera na długie wyczekiwanie i natychmiast po przyjeździe odprawił go do domu, wsiedli do autobusu.

Autobus był piętrowy i jak się wkrótce okazało – turystyczny!

Górne piętro miał odkryte, niczym taras widokowy. Przemierzając się powoli zatłoczonymi ulicami historycznego centrum miasta, odbywał okrężne, trzygodzinne rundy trasa, wzdłuż której znajdowały się wszystkie największe atrakcje Londynu: Big Ben, czyli słynna wieża zegarowa brytyjskiego parlamentu, opactwo Westminster, gdzie koronowani są brytyjscy królowie, pałac Buckingham, gdzie urzędują i mieszkają, plac Trafalgar Square z kolumną admirała Nelsona, Hyde Park, zamek Tower.

– Od razu wiedziałeś, że wsiadamy do autobusu dla turystów? – spytała Tessa pod koniec wycieczki, z której, mimo początkowego zaskoczenia, była ostatecznie bardzo zadowolona.

– Oczywiście! – odparł z uśmiechem Charles. – Zaplanowałem sobie już wcześniej, że pokażę ci Londyn, gdyby nie to, nie odsyłałbym Henry'ego. Jutro wybierzemy się jeszcze na spacer do parku St James's i nakarmimy wiewiórki, które są tam zupełnie oswojone i ani trochę nie boją się ludzi.

– Ja jutro przecież wyjeżdżam do Newcastle – przypomniała Tessa.

Charles machnął ręką.

– To nic nie szkodzi! – stwierdził. – Wyjedziemy dopiero po spacerze.

– Jak to, wyjedziemy?

– Zwyczajnie, samochodem. Podwiozę cię do Newcastle, a potem...

– Ale ja nie chcę! – wykrzyknęła Tessa.

– Dlaczego? – zdziwił się. – Nie ufasz mi jako kierowcy?

– Jestem ci bardzo wdzięczna za dziś, Charlie, ale jutro po prostu nie chcę z tobą jechać i nie chcę z tobą spacerować.

– Więc przespaceruj się jeszcze dzisiaj, w dowód wdzięczności. Właśnie jesteśmy koło parku St James's. Wsiadamy!

Nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, Charles złapał ją za rękę i ciągnąc energicznie za sobą, wyciągnął z autobusu, który właśnie stanął na przystanku.

- Idziemy do wiewiórek! - zarządził. - W Australii ich przecież nie zobaczysz.

- Ale jest już dość późno... - nieśmiało zaprotestowała Tessa.

- Gdzież tam! Dopiero szósta - stwierdził Charles, zerknąwszy na zegarek. - Zaręczam ci, że latem one jeszcze nie śpią o tej porze.

Wiewiórki istotnie nie spały, więc Tessa, która jako rodowita Australijka widziała te sympatyczne zwierzątka po raz pierwszy w swoim życiu, mogła się im naprzyglądać do woli.

Z zaciekawieniem przypatrywała się również innym typowo angielskim osobliwościom: nianiom w schludnych, choć całkowicie niemodnych uniformach, spacerującym na świeżym powietrzu ze swoimi małymi podopiecznymi z dobrych londyńskich domów, dystyngowanym dżentelmenom w melonikach, z namaszczeniem karmiącym parkowe kaczki resztkami biurowych kanapek.

- No i podoba ci się w St James's? - spytał ją w pewnym momencie Charles.

- Bardzo - odpowiedziała całkiem szczerze. - I w ogóle w Londynie, nie licząc Backblow Street. I chyba w ogóle w Anglii.

- Przecież możesz tu zostać, zamiast wracać do Australii. Mogłabyś zamieszkać z siostrzeńcem wśród jezior w Lake District, w domu odziedziczonym po siostrze, albo w średniowiecznym zamczysku lorda Dalstona, o ile zostaniesz jego żoną.

- Charlie, nie! - Głos Tessy, przed chwilą stłumiony, z lekka rozmarzony i całkowicie spokojny, nabrał natychmiast ostrych, niemalże histerycznych tonów. - Dziękuję ci za wszystko, co dla mnie dzisiaj zrobiłeś, ale proszę cię bardzo, znajdź sobie inną żonę!

- A jeśli nie chcę, to co? - rzucił z zuchwałym, wielkopańskim uśmiechem Charles Cameron, trzynasty lord Dalston.

I zanim oburzona Tessa zdążyła mu cokolwiek odpowiedzieć - chwycił

ją za obydwie ręce, energicznie przyciągnął ku sobie, objął mocno ramionami i pocałował w same usta!

W pierwszej chwili z zaskoczenia zdretniała. W sekundę później wystąpiły na nią ognie i już w następnym momencie, odzyskawszy czucie i władzę w rękach, zaczęła z całych sił odpychać od siebie bezczelnego zalotnika.

On jednak, ignorując protest, wciąż trzymał ją mocno w objęciach i ani myślał oderwać usta od jej warg. Pocałunek przedłużał się niebezpiecznie, robił się coraz bardziej namiętny.

Świat zawirował Tessie w głowie.

Zabrakło jej tchu.

I zabrakło jej sił, a może raczej chęci, do dalszego oporu. Sama nie wiedząc nawet kiedy, oplotła ramionami Charlesa i przyłgnęła do niego całym rozpalonym ciałem. I wpiła się wargami w jego usta z taką mocą, że aż jęknął, po trosze z ukontentowania, ale po trosze najwyraźniej ze zdumienia.

Natychmiast przytomniejąc, Tessa cofnęła się, głęboko zawstydzona własnym zachowaniem. Nie potrafiła sobie wyjaśnić, nie była w stanie zrozumieć, dlaczego tak całkowicie straciła nagłe głowę.

Nie miała pojęcia, jaki impuls powodował nią w tym momencie, kiedy nie tylko rozciągający się wokół niej park St James's, ale i cały Londyn, a nawet cały świat przestał dla niej istnieć.

Co mnie poniosło? – zastanawiała się gorączkowo, przymknawszy w zakłopotaniu oczy.

Zmysły?

Hormony?

A może raczej jakaś nagła fala szaleństwa?

– Charlie, myśmy już chyba obydwoje zbzikowali! – jęknęła w końcu zrezygnowana, opowiadając się w ten sposób jednoznacznie za tą ostatnią z trzech branych pod uwagę wersji.

– Z miłości?

– Nie pleć głupstw!

- Więc może z głodu?

- To już przedź - zgodziła się skwapliwie, byle tylko wyciągnąć Charlesa z nastrojowego, romantycznego parku i możliwie szybko znaleźć się wraz z nim w jakimś prozaicznym miejscu, na przykład w barze szybkiej obsługi czy innym lokalu gastronomicznym, nastawionym na masową obsługę turystów z całego świata.

- Chodźmy coś zjeść - zaproponował, wypuszczając ją z objęć, ale nadal przytrzymując za rękę. - Tu niedaleko, nad Tamizą, jest taki jeden sympatyczny pub, nazywa się „Rzep z psiego ogona”.

Tessa parsknęła śmiechem.

- Naprawdę? - spytała z niedowierzaniem.

- Wiele londyńskich pubów ma zabawne nazwy - wyjaśnił Charles. - Na przykład „Brudne fartuchy”, „Pies i kaczka”, „Stary ser cheshire”.

- Ale starego sera nie będziemy jeść?

- Nie ma obawy! W „Rzepie z psiego ogona” podają doskonały, najlepszy w całej Anglii rostbef i yorkshire pudding z naleśnikowego ciasta, z mięsny m sosem. A do tego grzane piwo!

- Faj! - Tessa odruchowo otrząsnęła się ze wstrętem już na samą myśl o popijaniu pieczeni wołowej ciepłym piwem.

- Dla zabłąkanych w Londynie Australijczyków może być zimne.

- To już lepiej.

- Więc chodźmy!

- Czemu nie - zgodziła się Tessa. - Tylko nie wyobrażaj sobie, Charlie - zastrzegła - że jak napiję się piwa, to znów oszaleję. Żadnych szaleństw! - zarządziła, zwracając się ni to do niego, ni to do siebie. - Jestem przecież kobietą z zasadami - podkreśliła.

- Nie wątpię - mruknął Charles. - Jako trzynasty lord Dalston, potomek historycznego, szacownego rodu, nie proponowałbym przecież kolacji i małżeństwa kobiecie pozbawionej zasad!

Kolacja w stylowym pubie „Rzep z psiego ogona” okazała się naprawdę pyszna, a piwo dobrze schłodzone.

O małżeństwie ani szaleństwie na szczęście nie było mowy. Tessa i Charles wrócili spacerkiem do domu i o dziewiątej powiedzieli sobie dobranoc, rozchodząc się do swoich pokoi.

Po kąpieli, a przed zaśnięciem, Tessa słyszała jeszcze, że Charles gdzieś dzwoni, z kimś ostro dyskutuje, a może nawet kłóci się przez telefon.

Jednak już w chwilę później, zmęczona rozlicznymi wrażeniami dnia, przymknęła oczy i przestała słyszeć cokolwiek.

Usnęła.

I spała kamiennym snem aż do rana, gdy to obudził ją głośny męski śpiew:

Powiedzże mi, moja miła,

Czy ty będziesz mojaaa.

Ludową piosenkę wyśpiewywał sobie dźwięcznym barytonem Charlie Cameron, gdzieś za ścianą, w swoim pokoju albo w łazience, przy goleniu.

Tessa nakryła głowę poduszką, żeby nic nie słyszeć. Ale, niestety, usnąć z powrotem nie zdołała.

Poleżała więc tylko jeszcze trochę, po czym wstała, wzięła prysznic, ubrała się w błękitne, klasyczne dżinsy i białą koszulową bluzkę, i wyszła z błękitnego pokoju na śniadanie.

W kuchni zastała Charliego i serwującą mu dość obfity poranny posiłek gospodynię, panią Robertson.

- Uporasz się w pół godziny z tym wszystkim, co nam tu Mary przygotowała? - zapytał. - Bo już o dziewiątej wyruszamy w drogę! Na pierwszą musimy być w Leeds, gdzie mam pewną sprawę do załatwienia, a stamtąd pojedziemy już prosto do Newcastle.

- Ale ja mogę przecież pojechać do Newcastle pociągiem - nieśmiało zauważyła Tessa, zajmując miejsce przy stole.

- A po co? Mój samochód jest zdecydowanie wygodniejszy.

- Nie chcę, żebyś specjalnie tracił czas i nakładał drogi, Charlie. Z Leeds do Newcastle jest jeszcze spory kawałek.

- To naprawdę nie ma znaczenia! Ja i tak jadę dalej, prawda, Mary?

- Oczywiście, milordzie - potwierdziła z udawaną troszeczkę powagą

gospodyni. – Jedzie pan zwizytować swój rodowy zamek, o ile mi wiadomo.

– Otóż to! A że mój zamek znajduje się na pograniczu angielsko-szkockim, w rejonie Lake District, to Newcastle będzie po drodze. Prawda, Mary?

– Oczywiście, milordzie – potwierdziła po raz wtóry gospodyni. – Proszę bez obaw i skrupułów jechać samochodem z naszym panem Charlesem, panno Flanagan – zwróciła się do Tessy. – I proszę szybko wracać do nas, do Londynu, na dłuższy pobyt!

– Och, z miłą chęcią! Ale ja mam tylko dwa tygodnie urlopu, pani Robertson.

– To pani pracuje zawodowo? – zainteresowała się gospodyni.

– Tak. Jestem pielęgniarką.

– Ależ, to cudownie! Proszę jechać z naszym milordem i pielęgnować go troszeczkę w drodze, choćby ze względu na to podbite oko.

Bez względu na podbite oko lord Dalton widział doskonale i prowadził samochód bardzo sprawnie.

Mimo postoju w Leeds, o wpół do piątej po południu byli już w Newcastle, odległym od Londynu o blisko pięćset kilometrów. Najpierw posilili się i odprężyli nieco po podróży w pubie, a potem pojechali pod adres, podany Tessie przez mecenasa Scotta.

Dom pani Blainey okazał się stylową, masywną willą z początków stulecia, usytuowaną w zamożnej i eleganckiej dzielnicy.

– Więc tak wygląda jaskinia smoka! – powiedział Charles, parkując samochód.

– Wygląda imponująco – przyznała Tessa. – Aż strach tam wejść!

– Wejść z tobą.

– Naprawdę?

– Jasne!

– Ale jako kto? – zaniepokoiła się Tessa.

– No cóż, może jako ochroniarz! – palnął wesoło Charles. – Moje podbite oko powinno zrobić wrażenie. Wysiadamy!

– Tylko się nie wygłupiaj, bo to poważna sprawa. I postaraj się nie

przestraszyć dziecka.

- Ale babcię mogę?
- Troszeczkę. W razie potrzeby.

Wysiedli z samochodu i podeszli do wejściowych drzwi. Charles Cameron zadzwonił.

Po chwili w drzwiach ukazała się tęga, mocno rumiana na twarzy niewiasta po pięćdziesiątce, w czarnej sukience i białym fartuszką pokojówki.

- A o co się państwu rozchodzi? - spytała niezbyt wykwintną, prowincjonalną angielszczyzną.

- Czy zastaliśmy może w domu panią Margot Blainey? - zapytał Charles.

- A państwo kto jest?

- Moje nazwisko Flanagan - wyjaśniła Tessa, wysuwając się trochę nieśmiało zza szerokich pleców Charlesa. - Jestem ciotką małego Bena, przyjechałam do niego specjalnie z Australii.

- Ale pani Blainey nie ma w domu! - oświadczyła służąca, zorientowawszy się, z kim ma do czynienia.

I z pewnością zatrzasknęłyby drzwi, gdyby Charles nie zablokował ich nogą.

- Panie! Pan zechce się przesunąć, dobrze? - burknęła tęga kobieta.

- Przesunę się, ale tylko do środka! Proszę nas wpuścić i natychmiast zawiadomić panią Blainey, że koniecznie musimy się z nią zobaczyć.

- A jak ona nie zechce państwa widzieć?

- To niech nam przyśle wnuka i jego rzeczy.

- Co takiego?!

Tęga, czerwona na twarzy kobieta zrobiła się ze złości jeszcze czerwiejsza, bliska apopleksji.

Charles Cameron zupełnie jednak się tym nie przejął i ze stoickim spokojem wyjaśnił:

- Panna Flanagan jest prawną opiekunką małego Bena Blaineya i

będzie zmuszona natychmiast go stąd zabrać, jeśli nie zdoła się upewnić, że dziecko przebywa pod dobrą opieką. Proszę powiedzieć o tym pani Blainey, a nas tymczasem wpuścić do środka. I to już!

Ostatnie, krótkie zdanie zostało wypowiedziane w zupełnie inny sposób niż dwa poprzednie, ostrzegawczym i groźnym tonem człowieka zdecydowanego w imię słusznej sprawy na wszystko. I raczej tonem popędliwego i gruboskórnego australijskiego farmera niż wymuskanego i dystyngowanego angielskiego lorda.

Sploszona służąca szybko cofnęła się, robiąc Tessie i Charlesowi przejście.

Wpuściła ich najpierw do mrocznego holu willi, a następnie wprowadziła do również dosyć ciemnego salonu na parterze.

- Niech państwo sobie tutaj usiądzie - rzuciła, wskazując na staroświeckie krzesła z wysokimi oparciami, rozstawione wokół nakrytego koronkową serwetą okrągłego stołu. - Ja zaraz...

Nie kończąc zdania, wycofała się i zniknęła gdzieś w głębi domu.

Tessa i Charles spojrzeli w milczeniu po sobie, wciąż niepewni, jak potoczą się dalej wydarzenia i czym ostatecznie zakończy się ich misja.

Po mniej więcej minucie, która w pełnej dramatycznego napięcia sytuacji ciągnęła się długo niczym stulecie, na prowadzących z piętra na parter drewnianych schodach, a potem w holu, rozległy się kroki.

W chwilę później do salonu wkroczyła wysoka, szczupła, siwowłosa dama, cała w czerni.

- Jestem Margot Blainey - oznajmiła stanowczym głosem, przywykłym najwyraźniej do wypowiedzania rozkazów.

Charles Cameron szarmancko uniósł się z krzesła. Usadowiona tyłem do drzwi Tessa również wstała i odwróciła się w kierunku starszej pani.

- Wielki Boże! - wykrzyknęła w tym momencie Margot Blainey. - Pani jest po prostu lustrzanym odbiciem Christine, panno...

- Flanagan - przypomniała swoje nazwisko Tessa.

- Tak, panno Flanagan. Przecież małemu Benowi serce pęknie na pani widok!

- A gdzie on w ogóle jest? - wtrącił Charles.

Pani Blainey spojrzała na niego wyniosłe i krytycznie, przez dłuższą chwilę koncentrując podejrzliwy wzrok na podbitym oku, po czym odpowiedziała:

- Jest tu, w moim domu, proszę pana. W dzieciennym pokoju na piętrze.

- Chciałabym go teraz zobaczyć, jeżeli to możliwe - odezwała się Tessa.

- To absolutnie niemożliwe, panno Flanagan, ani teraz, ani później! - stwierdziła pani Blainey.

- To nie tylko możliwe, ale nawet absolutnie konieczne, proszę pani! - sprostował Charles. - Tessa jest przecież prawną opiekunką małego Bena, na mocy testamentu jego zmarłej matki.

- Ten testament, mój panie... - zaczęła z nie ukrywaną irytacją starsza dama.

Jednak nie kończąc zdania, umilkła, po czym, zmierzwszy Charlesa po raz kolejny podejrzliwym i krytycznym spojrzeniem, zapytała:

- Kim pan właściwie jest?

- Jestem doradcą panny Flanagan - odparł bez zająknięcia. - Prawnicy z kancelarii „Scott, Scott i McPherson” w Londynie udostępnili nam kopię zdeponowanego tam dokumentu, na mocy którego jest pani zobowiązana...

- Nie jestem do niczego zobowiązana, mój panie! - wykrzyknęła z oburzeniem starsza dama.

- Niestety, jest pani w błędzie - dość cicho, ale kategorycznie stwierdził Charles. - Dlatego proszę przyprowadzić tutaj dziecko.

Przez minutę, a może nawet dwie, starsza dama milczała, groźnie nachmurzona i nieruchoma niczym posąg. Aż w końcu podeszła do stołu, ujęła leżący na nim niewielki ręczny dzwonek i zadzwoniła.

W otwartych drzwiach salonu pojawiła się służąca.

- Powiedz Emmie, żeby przyprowadziła tu dziecko - wydała jej polecenie pani Blainey.

Po chwili w salonie pojawiła się młodziutka, z wyglądu dość ekscentryczna niania, z dwoma srebrnymi kolczykami w jednym i trzema w

drogim uchu, oraz ukryty za jej długą i wzorzystą spódnicą czterolatek w staroświeckim marynarskim ubranku.

- Cześć, Ben, jestem twoją ciotką z Australii – lekko zdławionym ze wzruszenia głosem odezwała się Tessa do siostrzeńca, którego do tej pory widywała tylko na zdjęciach.

Zza kolorowej spódnicy Emmy wysunęła się jasna, troszeczkę potargana czupryna. Chłopczyk ostrożnie lypnął niebieskim okiem i znów się schował.

- Ta pani to siostra twojej mamusi, mały skrzacie, wygląda prawie całkiem tak samo jak ona, popatrz! – Niania starała się zachęcić malca do przyjrzenia się nieznajomej ciotce.

Onieśmielony, choć również zaciekawiony ponownie czterolatek znów wyrzwał i się schował za spódnicę.

- Emmo, tymczasem zostaw nas z Benem samych – poleciła pani Blainey.

Niania posłusznie skinęła głową i zaczęła się wycofywać w kierunku drzwi.

- Chwileczkę, panno Emmo! – powstrzymała ją Tessa.

- Tak?

- Od dawna zajmuje się pani Benem?

- Od przeszło roku. Jesteśmy już starymi przyjaciółmi, prawda, skrzacie?

- Tak – potwierdził cichutko czterolatek, najwyraźniej pozostający z Emmą w niezłej komitywie. – Przyjechaliśmy tu z naszego domu.

Malec umilkł, w jego jasnobłękitnych oczach pojawiły się duże, choć pojedyncze łezki.

Emma otarła mu je rękawem własnej bawełnianej bluzki i pogładziła go czule po głowie.

- Nie martw się, skrzacie, będę na górze – rzuciła i wybiegła z pokoju.

Chłopiec obrócił się na pięcie, żeby popędzić za nią, jednak powstrzymało go polecenie pani Blainey:

- Ben, zostań!

Zatrzymał się posłusznie, jednak kiedy Tessa postąpiła krok w jego stronę, przezornie się cofnął.

- Ben, jestem twoją ciocią z Australii - powtórzyła zakłopotana. - Siostrą twojej mamusi.

Zerknął na nią przelotnie z ukosa. Natomiast ze znacznie większym zainteresowaniem zaczął przypatrywać się Charlesowi.

- Cześć, jestem Charlie - przedstawił się malcowi lord Dalston i wyciągnął do niego rękę.

Malec z powagą uściśnął okazałą dłoń mężczyzny, a ściśle biorąc pojedynczy palec, bo tylko taki fragment dłoni zdołał objąć swoją drobną rączką.

- Chcesz zobaczyć mój samochód? - spytał Charles. Ben skinął głową.

Charles podszedł do okna i odsunął ciężką zasłonę, wpuszczając do ponurego salonu trochę światła.

- Zaraz cię podsadzę - poinformował chłopca, po czym wziął go na ręce i postawił na szerokim parapecie.

- Czy twój samochód to jaguar? - zapytał czterolatek, przypatrując się z zaciekawieniem zaparkowanej przed domem czarnej limuzynie.

- Tak.

- A ja mam żółtego volkswagena, Charlie!

- Gdzie?

- Tutaj.

Ben wyjął z kieszeni marynarskich spodenek miniaturowego resoraka.

- Fantastyczny wóz! - pochwalił Charles.

- Twój też!

Zestawił malca z okiennego parapetu na podłogę i roześmiał się.

Ben również zachichotał.

Nawet zmartwiona z powodu trudności w nawiązaniu kontaktu z siostrzeńcem twarz Tessy rozjaśniła się na moment uśmiechem.

Jedynie oblicze pani Blainey pozostało pępne i surowe jak przedtem.

- Panno Flanagan, czy przekonała się już pani, że mój wnuk ma w moim domu wystarczająco dobrą opiekę? - zapytała.

Tessa w milczeniu skinęła głową,

- Proszę zatem zostawić go w miejscu, które zna i do którego przywykł.

Jest Brytyjczykiem, Australia to dla niego zupełnie obcy kraj.

Tessa skinęła głową po raz drugi.

- Odwiedzę Bena jeszcze raz przed wyjazdem, jeśli można - odezwała się po chwili.

- Cóż, jeśli pani musi, to proszę.

Scandalous

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Nie mogę zabrać stąd Bena - stwierdziła Tessa w chwilę po wyjściu z mrocznej willi pani Blainey na osłonecznioną ulicę.

- Dlaczego?

- Bo ona go chyba kocha.

- Ona? Znaczą Margot Blainey? - z powątpiewaniem rzucił Charles. - Nie sądzę, żeby ta kobieta kochała kogokolwiek.

- Więc czemu tak bardzo chce mieć Bena przy sobie, w Newcastle?

- Bo chce go mieć pod kontrolą, jak wszystko i wszystkich ze swojego otoczenia.

- Chyba przesadzasz.

- Za to ty chyba nie chcesz go stąd zabrać, tak naprawdę! - wybuchnął Charles.

- Chciałabym, gdyby mnie potrzebował.

- Potrzebuje cię, możesz być tego pewna! Tu przecież nie ma żadnej życziwej duszy.

- Ma Emmę!

- Emma jest w takim wieku, że lada dzień pewnie się w kimsz zakocha, wyjdzie za mąż, urodzi dziecko i zrezygnuje z posady niani w obcym domu - stwierdził Charles. - I wtedy starsza pani Blainey zatrudni do opieki nad Benem jakąś ponurą, srogą jędzę.

- Więc uważasz, że powinnam go stąd zabrać?

- Uważam, że powinnaś o tym pomyśleć.

Tessa wzruszyła ramionami i odezwała się z lekka ironicznie:

- Dzięki za światłą radę! Przecież myślę. I jeszcze myślę - dodała po chwili pełnego napięcia milczenia - że powinniśmy się już pożegnać.

- A dokąd ty się tak nagle wybierasz? - zdziwił się Charles.

- Wiadomo, do Greyrigg Rise w krainie jezior, do domu mojej siostry.

- Gdzie dokładnie leży Greyrigg Rise?

- Nad jeziorem Derwent Water.

- Zawiozę cię tam.

- Nie!

- Właśnie, że tak! Nie pleć głupstw, tylko wsiadaj do samochodu i jedź ze mną.

- A jak nie zechcę?

- Musisz.

Tessa zrobiła wielkie oczy.

- Dlaczego? - zapytała, po trosze zirytowana bezczelnością Charlesa Camerona, a po trosze przestraszona jego determinacją.

- Ponieważ nadszedł czas na spłatę długu.

- Jakiego... długu? - wykrztusiła z lękiem, przypomniawszy sobie nagle wszystkie opisywane w australijskich gazetach historie o tym, jaki straszliwy los może niekiedy zgotować sobie młoda kobieta, lekkomyślnie decydując się odbyć podróż z przypadkowo poznanym, sympatycznym z pozoru mężczyzną, który w istocie okazuje się psychopata, wariatem albo zboczeńcem.

- Długu wdzięczności - wyjaśnił Charles. - Przyjąłem cię pod mój dach w Londynie, więc teraz ty przyjmij mnie pod swój... ten odziedziczony po siostrze i szwagrze w Greyrigg Rise.

- Przecież masz zamek gdzieś tam niedaleko. Właściwie, gdzie? - spytała Tessa, chcąc przede wszystkim sprawdzić w ten sposób, czy zamek nie jest przypadkiem jakimś chorobliwym wymysłem.

- W Castlerigg, na północ od Keswick, blisko szkockiej granicy. Natomiast jezioro Derwent Water rozciąga się na południe...

- No więc? - Tessa przerwała Charliemu jego geograficzny wywód. - Skoro masz zamek, to masz przecież własny dach nad głową! - stwierdziła dobitnie.

Roześmiał się na to serdecznie i wyjaśnił:

- Dziewczyno! Przecież mój lordowski zamek w Castlerigg w ogóle nie ma żadnego dachu. To średniowieczna ruina, opuszczona przez ostatnich mieszkańców mniej więcej trzysta lat temu.

Tessa Flanagan zapomniała o strachu i również parsknęła śmiechem.

- Człowieku! I na tę średniowieczną ruinę bez dachu miałeś czelność

mnie podrywać w samolocie?! – wykrzyknęła z udawanym oburzeniem.

W odpowiedzi Charles Cameron zaczął perorować z emfazą zbytkowanego na punkcie zabytków przewodnika wycieczek turystycznych:

– Lordowski zamek Castlerigg to ruina historyczna, niezwykle cenna, z dobrze zachowanymi wieżami i lochami, a także z fragmentami murów obronnych i fosy. I jeszcze z mnóstwem duchów średniowiecznych rycerzy, poległych niegdyś w bojach o nadgraniczną fortecę. Duchy te wojują ze sobą każdej nocy, skutecznie płosząc śmiałków, jacy ewentualnie zaplątałiby się tam po zapadnięciu zmierzchu. Dlatego zamek można zwiedzać tylko za dnia.

Roześmiana przed chwilą Tessa nagle spochmurniała.

– W domu Christine i jej męża też mogą pojawić się duchy – zauważyła posepnie.

Charles również spowaźniał.

– W domu pełnym duchów przeszłości źle się nocuje w pojedynkę – stwierdził. – Jedziemy razem do tego Greyrigg Rise?

– Niech już będzie – przystała Tessa bez nadmiernego entuzjazmu.

Dom tragicznie zmarłych w wypadku samochodowym młodych państwa Blaineyów w Greyrigg Rise, niewielkiej wypoczynkowej miejscowości, położonej nad wyjątkowo malowniczym jeziorem Derwent Water, okazał się stylową jednopiętrową willą o oplecionych różanym pnączem ścianach z jasnoszarego kamienia, zatopioną w bujnym, choć mocno dziczykałym ogrodzie.

– Christine i John, jej mąż, nie przepadali za tym odludnym miejscem na głębokiej prowincji – stwierdziła z zadumą Tessa, przypatrując się budowli i jej otoczeniu przez szybę samochodu. – Koniecznie chcieli wyrwać się stąd do jakiegoś dużego miasta, najchętniej po prostu do Londynu,

– A ja odwrotnie, chyba mógłbym przeprowadzić się tu znad Tamizy i na stałe zamieszkać! – odezwał się z lekkim i nieco melancholijnym westchnieniem Charles. – Ma się rozumieć z tobą i z twoim siostrzeńcem – dodał pośpiesznie.

- I jeszcze z moim narzeczonym Donaldem, tak?

Charles umilkł.

Westchnął melancholijnie po raz drugi, zaparkował jaguara przed głównym wejściem, wyskoczył zza kierownicy, zamaszystym krokiem obszedł wóz dookoła, otworzył Tessie drzwi i pomógł jej wysiąść.

- Obejrzymy dom w środku? - spytał.

- Musimy - odpowiedziała jednym słowem, przez ściśnięte wzruszeniem gardło.

Obeszli obszerne domostwo niczym muzeum, pomieszczenie po pomieszczeniu.

Wszystkie wnętrza były urządzone efektownie i z wyrafinowanym smakiem, jednak - nie licząc pokoiku Bena i służbówki jego niani na piętrze - wydawały się bezosobowe i chłodne, niczym ekspozycja ekskluzywnego salonu meblowego.

- Tu wszędzie jest jak w jakimś katalogu - stwierdziła posepnie Tessa.

- Jakby tu nikt, poza małym Benem i Emmą, nie mieszkał już co najmniej od kilkunastu lat, a nie od kilkunastu dni - zauważył Charles.

- Moja siostra i szwagier nie przepadali za tym odludnym miejscem na głębokiej prowincji - powtórzyła Tessa. - Z tego, co wiem, mieli mnóstwo znajomych i nieustannie byli w rozjazdach.

- Aha, więc to pewnie dlatego Ben, wbrew dramatycznym przewidywaniom pani Blainey, niespecjalnie się przejął twoim widokiem, chociaż jesteś kropka w kropkę podobna do jego zmarłej matki!

- Nie rozumiem! - syknęła Tessa, wyraźnie zirytowana faktem, że Charles, zupełnie obcy przecież człowiek, pozwala sobie na krytyczne komentarze na temat jej rodziny.

- Rzadko widywał matkę i nie był do niej przyzwyczajony - stwierdził Charles. - Przeważnie przebywał tylko z Emmą. Twoja siostra...

- Nie krytykuj Christine!

- A ty jej nie broń!

- Niby dlaczego? Sama nie może się przecież bronić, skoro nie żyje!

- Ale zrozumiem, tu wcale nie chodzi o krytykę ani o obronę zmarłych...

- Tylko o co?

- Tylko o tragedię ich dziecka - wyjaśnił swój punkt widzenia Charlie. - O tragedię czteroletniego dziecka, które żyje w tej chwili w domu ponurym jak rodzinny grobowiec, z bezduszną babką, gruboskórną służącą i smarkatą opiekunką, niewątpliwie najzycliwszą i najsympatyczniejszą w całym tym towarzystwie, ale zupełnie przecież pozbawioną wpływu na cokolwiek!

Tessa spojrzała na Charlesa zdziwionym, nieprzytomnym trochę wzrokiem osoby rozbudzonej nagle z głębokiego snu albo ocuconej z omdlenia. Po czym wzięła głęboki oddech i zapytała:

- Czy ty naprawdę uważasz, że jest aż tak bardzo źle, Charlie?

- Jest fatalnie - przyświadczył. - Jeśli naprawdę dobro tego dziecka leży ci na sercu, powinnaś jak najszybciej coś zrobić.

- Wiem! Wiem, co zrobić! - wykrzyknęła.

- Tak?

- Zadzwoń do Donalda, jeszcze dzisiaj wieczorem, przekonam się, co mi powie.

Charles westchnął z rezygnacją.

- I oznajmisz mu może, że wracasz do Australii z czteroletnim dzieckiem? - zapytał.

Tessa wruszyła bezradnie ramionami.

- Nie wiem - szepnęła. - Ben przecież tak lubi tę swoją nianię, Emmę...

- Ben potrzebuje matki, a Emma nią nie jest i nie będzie.

- Ale ja też nie! - jęknęła Tessa.

- A dlaczego? Dlatego, że sama nie chcesz, czy dlatego, że ten twój Donald nie pozwala ci matkować osieroconemu siostrzeńcowi?

- Nie twoja sprawa!

- Fakt - zgodził się Charles.

- Więc nie wymuszaj na mnie żadnych... pośpiesznych decyzji, jeśli łaska - stwierdziła Tessa łamiącym się z nadmiaru emocji głosem. - Ja sama muszę zdecydować... bez niczych podpowiedzi.

- Niech ci twoje własne serce powiada, to na pewno wystarczy!

- Tak myślisz?

Charles spojrział jej głęboko w oczy i w milczeniu skinął głową.

Łatwo powiedzieć, niech ci podpowiada własne serce, zamyśliła się Tessa. Moje serce to przecież ruina, po stracie matki i siostry, istny cmentarz.

O właśnie, cmentarz! - skojarzyła. I odezwała się z cicha do Charlesa:

- Moja Christine i jej John są pochowani tutaj, w Greyrigg Rise.

- Chciałabyś teraz wybrać się na cmentarz, na ich grób, prawda?

- Tak - potwierdziła. - Nie zdążyłam na pogrzeb, więc powinnam pożegnać ich w tej chwili.

- Zawiozę cię i zaczekam. A potem zabiorę cię na kolację do Keswick - obiecał Charles.

Stojąc przy grobie siostry, Tessa uzmysłowiła sobie, że właściwie niewiele o niej wie, jako o dorosłej kobiecie. W dzieciństwie i jako nastolatki były nierozłączne, jak to bliźniaczki, i znały doskonale wszystkie swoje najtajniejsze sekrety. Ale potem Christine zakochała się w Johnie Blaineyu, rodowitym Angliku, wyszła za niego za mąż, wyjechała z Australii... I całkowicie oderwała się od ojczystego kraju, od rodziny Flanaganów i od swego lustrzanego odbicia - Tessy, bliźniaczej siostry.

Listy pisywała bardzo rzadko. Od czasu do czasu dzwoniła. Nie przyjechała na antypody ani razu, nawet na pogrzeb matki. W gruncie rzeczy stała się kimś dalekim, nieznanym, prawie obcym.

I to już się, niestety, nie zmieni! - uświadomiła sobie Tessa z bólem serca. Już nigdy nie nawiąże się pomiędzy nimi zerwana niegdyś nic porozumienia, nie mamy już żadnych szans na wyjaśnienie sobie czegokolwiek z przeszłości i rozpoczęcie czegokolwiek od nowa. Sądząc po testamencie Christine, mogę się tylko domyślać, że tak do końca o mnie nie zapomniła - stwierdziła w duchu na pocieszenie. - To wszystko!

Tessa westchnęła ciężko i boleśnie, otarła pojedyncze łzy, jakie zakręciły się jej w oczach i potoczyły po policzkach.

I pożegnała się na zawsze z siostrą, szwagrem i z przeszłością.

I wróciła do terażniejszości, której na imię było...

Donald?

Absolutnie nie!

Australijski narzeczonny wydał się Tessie nagle kimś równie dalekim jak mieszkaniec innej planety, kimś wręcz nierealnym, wymyślonym, nieprawdziwym.

Wróciła więc do mężczyzny, który z całą pewnością był autentyczny, który czekał na nią w alejce, o kilkanaście kroków od grobu siostry, podał jej ramię, wyprowadził z cmentarza, ulokował wygodnie w samochodzie.

Wróciła do Charliego Camerona.

Zjadła z nim w pubie w Keswick smaczną kolację, przyjechała z nim do opustoszałego domu swojej siostry w Greyrigg Rise i zapytała go w holu drżącym lekko ze zdenerwowania głosem:

- Gdzie będziesz spał?

Charles uśmiechnął się.

- A ty? - odpowiedział Tessie przewrotnie pytaniem na pytanie.

- Ja w pokoju Bena, na górze - zdecydowała się na poczekaniu.

- To świetnie! - ucieszył się. - Może pomyślisz o nim przed zaśnięciem?

- Na pewno.

- A może przy okazji i o mnie? Ja będę spał tu, na dole - stwierdził - w tym dużym salonie, na sofie. Widziałem tam jakiś koc.

- No, to dobranoc! - odezwała się trochę speszona i zaczęła powoli wspinać się na schody.

- Dobranoc! - odpowiedział. - Będziesz dzwoniła do Donalda?

- Już dzisiaj nie.

- A wyjdiesz za niego za mąż?

- Daj spokój, Charlie - rzuciła z wysokości półpiętra. - Ja zupełnie nie mam teraz nastroju do snucia małżeńskich planów.

- A za mnie wyjdiesz?

- Daj spokój, Charlie! Zamiast mnie męczyć, lepiej wyśpij się dobrze.

Do jutra!

- Do jutra! Do zobaczenia rano - odpowiedział.

Kiedy nazajutrz Tessa obudziła się, umyła, ubrała i zeszła z pierwszego piętra na parter, nie natknęła się jednak na niego ani w salonie, ani w kuchni, ani gdziekolwiek indziej.

Charles Cameron, trzynasty lord Dalston, zniknął z Greyrigg Rise, pozostawiając jedynie karteczkę następującej treści:

Kochanie!

Doszedłem do wniosku podczas bezsennej nocy, że potrzebujesz trochę spokoju, żeby przemyśleć swoje osobiste sprawy, a ja potrzebuję trochę czasu, żeby załatwić i wyjaśnić kilka kwestii, związanych z testamentem stryja. Dlatego wyjeżdżam i zostawiam cię samą. Jednak stale będę o tobie myślał i wrócę najszybciej, jak tylko będę mógł. Czekaj na mnie cierpliwie w Greyrigg Rise.

Twój Charlie

Gniotąc karteczkę i ciskając ją z rozmachem do kuchennego kosza na śmieci, Tessa mruknęła z oburzeniem:

- W tym podpisie powinno raczej być: „Twój bezczelny Charlie”!

No, bo przecież – stwierdziła w myślach – to prawdziwa bezczelność, wywieźć kogoś na odludzie, zostawić i kazać na siebie czekać nie wiadomo ile!

A na dodatek – uzmysłowiła sobie – tak fatalnie pomieszać komuś w głowie.

I w sercu.

No i w starannie poukładanych planach na bliższą i dalszą przyszłość!

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- A więc nie ma pan jeszcze damy swojego serca, milordzie?

Takie oto pytanie postawił ze zdziwieniem mecenas Edwin Roberts z kancelarii prawniczej w Penrith, korpulentny starszy pan o dość komicznie nastroszonej siwej czuprynie, podobnych brwiach i mocno rumianych policzkach. Charles Cameron zjawił się u niego z czarną teczką pełną spadkowych dokumentów w środę przed południem, w kilka godzin po opuszczeniu Greyrigg Rise.

- Ech, nawet mam, panie mecenasie! - brzmiała poprzedzona ciężkim westchnieniem odpowiedź. - Ale ona, jak dotąd, mnie nie chce.

- A może zmieniłaby zdanie, gdyby się tak dowiedziała, że zrujnowany średniowieczny zamek, który dziedziczy pan po stryju, chciałoby odkupić amerykańskie konsorcjum turystyczne za niebagatelną sumę pieniędzy, żeby go odrestaurować i przekształcić w turystyczny hotel?

- Nie sądzę - odparł Charles, kręcąc głową. - Mój lordowski majątek jakoś absolutnie na tę dziewczynę nie działa.

- Niesłychane! - zdumiał się mecenas Roberts. - W dzisiejszych czasach...

- A zresztą, jeśli wolno uściślić - przerwał mu Charles - to przecież te pertraktacje z amerykańskimi fachowcami od masowej turystyki podjął na własną rękę, nie konsultując się z nikim z rodziny, mój stryj.

- A pan jak się do nich odnosi, milordzie, jeśli wolno zapytać?

- Zdecydowanie nieprzychylnie, mecenasie. Ja osobiście zawsze byłem i nadal jestem przeciwny przekształceniu historycznej siedziby rodu Cameronów w kolejny Eurodisneyland. Dlatego wcale nie chcę tych amerykańskich pieniędzy.

- Więc pozostaje panu jako oręż tylko urok osobisty - stwierdził ze śmiechem jowialny prawnik. - Proszę go wykorzystać!

- Ba! Próbowałem.

- Proszę spróbować jeszcze raz! Ma pan przecież jeszcze trochę czasu, milordzie.

- Do piątku.

- Do następnego piątku, mówiąc ściśle – stwierdził mecenas Roberts.

- Naprawdę do następnego?

- Oczywiście! Dokładnie w miesiąc po tym dniu wypadają pańskie trzydzieste urodziny, a że prawo nakazuje zgłosić zamiar wstąpienia w związek małżeński z miesięcznym wyprzedzeniem, to...

- Rozumiem, mecenasie! – Wyraźnie ucieszony lord Dalston przerwał prawnikowi jego szczegółowy wywód.

- Skoro dzisiaj jest środa, to znaczy, że na zdobycie zamku pozostał mi jeszcze do dyspozycji cały tydzień i dwa dni.

- Więc proszę szturmować, milordzie!

Do końca tygodnia Charles Cameron, trzynasty lord Dalston, krążył wokół zamku w Castlerigg, sprawiając wrażenie, jakby naprawdę przygotowywał się do ataku, chociaż w istocie załatwiał tylko rozmaite prozaiczne sprawy w lokalnych urzędach.

W tym samym czasie Tessa Flanagan pracowicie przygotowywała do wynajęcia dom w Greyrigg Rise.

Wydzwaniała do okolicznych agentów nieruchomości, składając oferty.

Wietrzyła i sprzątała pomieszczenia.

Sortowała odzież siostry i szwagra, chcąc część wyrzucić, a mniej znoszoną garderobę przekazać jakiejś organizacji charytatywnej.

Pakowała rzeczy Bena.

No i od czasu do czasu wyglądała którymś z okien na Charliego!

Zjawił się w Greyrigg Rise w sobotę przed południem, kiedy akurat zajmowała się porządkowaniem rodzinnych dokumentów Christine i Johna Blaineyów.

- Stęskniłaś się za mną, najmilsza? Bo ja za tobą ogromnie! – wykrzyknął już od progu, po czym podbiegł do Tessy, objął ją w pół i wycałował w obydwie policzki.

- Nie wygłupiaj się, Charlie! – zburczała go dobrodusznie. – Za dużo tu miałam roboty i za mało czasu, żeby tęsknić.

- Ale do Donalda pewnie zdążyłaś zadzwonić?

Tessa najpierw uwolniła się z objęć i cofnęła o krok, a dopiero potem odpowiedziała krótko:

- Nie!

- Czy to znaczy, że już dałaś sobie z nim spokój? - spytał Charles z filuternym uśmieszkiem.

Odpowiedź była identyczna jak poprzednio:

- Nie!

- A ja już myślałem, że tak - westchnął Charlie, - I że się za mną stęskniłaś przez te trzy dni rozłąki, i że zdecydowałaś się za mnie wyjść.

- Nie mam zamiaru wychodzić za męża za kogoś, kto chce się ze mną ożenić tylko po to, żeby odziedziczyć po stryju lordowski zamek.

- Ech, co tam zamek! - lekceważąco machnął ręką - jest przecież stary i zrujnowany. Za to ty jesteś młoda i piękna, i ja dlatego... Tesso Flanagan! - oświadczył uroczystym tonem, odchrząknawszy najpierw i wzięwszy głęboki oddech. - Przyjmij do wiadomości, że ja, trzynasty lord Dalston, chcę się z tobą ożenić bez względu na zamek, i w ogóle bez względu na wszystko, i chcę cię uczynić najszczęśliwszą ze wszystkich dotychczasowych lady Dalston.

Tessa cofnęła się przezornie jeszcze o krok i pokręciła głową.

- Ty chyba naprawdę jesteś szalony, Charlie - stwierdziła z ciężkim westchnieniem.

- Cóż, jeśli można oszaleć z miłości.

- Chcesz powiedzieć, że mnie kochasz?

- Kocham.

- Nie wierzę. Ty się najzwyczajniej na świecie wygłupiasz, i tyle!

- Nieprawda! - zaprzeczył energicznie Charles. - Jestem śmiertelnie poważny, jak przystało na dziedzica poważnego, historycznego rodu. O tym, jak bardzo historycznego - dodał - przekonasz się na własne oczy, kiedy zobaczysz nasz zamek Castlerigg.

- Więc mi go pokaż - zaproponowała Tessa, chcąc przede wszystkim zmienić temat z osobistego na bardziej ogólny i w jakiś sposób wywikłać się

z kłopotliwej, pełnej napięcia sytuacji.

- No, to jedźmy!

Średniowieczny lordowski zamek Castlerigg, jak przystało na nadgraniczną obronną fortecę, stał na wzniesieniu, był więc z daleka widoczny.

I oglądany z daleka, z okien samochodu jadącego niezbyt prędko mało uczęszczanym traktem, sprawiał wrażenie nadającego się do zamieszkania, miał bowiem nienaruszone mury obronne i trzy wysokie wieże.

Dopiero z bliska, podczas zwiedzania, Tessa mogła się naocznie przekonać, że oprócz murów i wież z historycznej siedziby rodu Cameronów nie zachowało się zupełnie nic.

- O, przepraszam! - obruszył się Charles, gdy podzieliła się z nim swoim spostrzeżeniem. - Są jeszcze całkiem niezłe zachowane lochy.

- Nie strasz!

- Lochy to głupstwo - stwierdził pół żartem, pół serio, chwytając ją za rękę, pochylając się i zniżając głos do teatralnego szeptu. - Bez porównania straszniejsze są duchy.

- Naprawdę?

- Chodź, to ci coś pokażę.

Nie zważając na nieśmiały opór ze strony cokolwiek załęknionej Tessy, Charles pociągnął ją energicznie wąską ścieżką, wydeptaną zapewne przez turystów wśród porośniętego przez bujne dzikie chaszczce wnętrza zrujnowanego zamku. Kierował się w stronę północno-wschodniej wieży. A następnie, wciąż holując za rękę, wprowadził ją po koślawych kamiennych schodkach aż na sam szczyt, gdzie oświadczył:

- Oto moje ulubione miejsce.

- Ze względu... na piękny widok? - spytała Tessa, z trudem chwytając oddech i równocześnie z podziwem kontemplując wspaniałą panoramę malowniczej, odludnej okolicy zamku Castlerigg.

- Przede wszystkim ze względu na obecność mojego ulubionego ducha - odparł Charles.

- On tu jest? - zaciekawila się Tessa.

- Raczej bywa. Pokazuje się od czasu do czasu, nocami, ma się rozumieć.

- Czy ten twój duch to może jakiś rycerz w żelaznej zbroi?

- Skądże znowu! - zaprzeczył Charles ze śmiechem. - To kobieta.

- Biała dama?

- Raczej naga dama.

- Naga? - zdziwiła się Tessa.

- Otóż to! - potwierdził Charles. - Posłuchaj jej tragicznej historii.

Przysiedli na kamiennych stopniach.

Zaciekawiona, choć w granicę rzeczy zupełnie przypadkowa turystka z dalekiej Australii, Tessa Flanagan, zamieniła się w słuch, a trzynasty lord Dalston ze swadą rozpoczął swoją opowieść:

- Ta młoda dama, imieniem Eleonora, miała osiemnaście lat czy coś koło tego i była niezwykle urodziwą córką jednego z zamkowych rycerzy. Kochała się na zabój w dwudziestoletnim synu lorda, pana na zamku, ale...

- On jej nie kochał? - wtrąciła Tessa.

- Nawet nie to! Ale jego ojciec, pan na zamku Castlerigg - podjął przerwany wątek Charles - nakazał synowi pewnego fatalnego dnia zebrać rycerską drużynę i wyruszyć na wojnę. Tymczasem Eleonora, która oprócz niezwyklej urody miała jeszcze dar jasnowidzenia, przewidziała, że jej ukochany zginie.

Ostatnie zdanie wzruszony lord Dalston wypowiedział posępnym, grobowym głosem i na chwilę umilkł.

- No i co? - zniecierpliwiła się Tessa.

- No i za wszelką cenę starała się go zatrzymać, to oczywiste! Błagała, żeby został, przekonywała, namawiała, kusila.

- A on?

- On jednak, jak każdy średniowieczny rycerz, był honorowy, nieulekły i nieugięty, więc zdecydował się iść w śmiertelny bój - stwierdził Charlie z emfazą.

- A ona? - wypytywała Tessa.

- W momencie gdy on ze swoją drużyną miał już opuścić zamek, wbiegła właśnie na tę wieżę, tu na szczyt, gdzie w tej chwili jesteście, wspięła się na zwieńczenie, na sam skraj muru, o, tam wyżej... - Charles wskazał miejsce ręką.

- No i co?

- No i zdesperowana... - Charles, dla dodania opowieści dramatyzmu, znowu zawiesił głos.

- Skoczyła?

- Nie od razu.

- Tylko co?

- Najpierw zrzuciła z siebie wszystkie szatki, co do jednej, pokładając resztki nadziei w tym, że widok jej nagiego ciała skłoni młodzieńca do rezygnacji z wyprawy i powrotu w jej ramiona.

- A on?

- Cóż... On jednak, niestety, wolał rzucić się w ramiona śmierci i zginąć na polu walki, jak przystało na prawdziwego rycerza. Więc odjechał z rycerską drużyną. A ona wówczas rzuciła się z tej wieży. I jako samobójczyni do tej pory tutaj pokutuje.

- Biedna Eleonora! Musiała być niesamowicie wprost rozkochana w tym swoim rycerzu - szepnęła Tessa z rozmarzeniem.

- Wiadomo! - przytaknął Charles. - Bo ty, na przykład, z całą pewnością nie skoczyłabyś dla mnie z wieży, prawda?

- Wiadomo!

- A co byś czuła, gdybym ci nagle oświadczył, że właśnie wyruszam na wyprawę wojenną, z której już nigdy do ciebie nie wrócę?

- Ogromną ulgę! - palnęła Tessa.

- Ty złośnico! Ja cię jeszcze poskromię! - wykrzyknął Charles, zrywając się na równe nogi.

- A ja się w żadnym wypadku nie dam! - zaczęła się z nim droczyć i na wszelki wypadek również podniosła się z kamiennych schodów.

- Jestem od ciebie znacznie silniejszy, więc co mi zrobisz?

- Ucieknę.

- Dokąd?
- Najpierw na dół, a potem do Greyrigg Rise, do Londynu i do Australii.
- To ja się wtedy rzucę z rozpaczą z tej wieży, głową w dół!

Wypowiedziawszy te dramatyczne słowa, Charles Cameron, trzynasty lord Dalston, błyskawicznie, z prawdziwie kocią zręcznością, wspiał się na skraj wieńczącego wieżę muru i stanął dokładnie w tym samym miejscu, które wcześniej wskazywał ręką jako miejsce śmiertelnego skoku nieszczęsnej Eleonory.

- Nie wygłupiaj się, Charlie – upomniała go Tessa.
- A wyjdiesz za mnie?
- Charlie, na litość boską, bądź rozsądny! – krzyknęła zdenerwowana. – Zejdź stamtąd natychmiast i wracajmy już do domu!

Charles Cameron, trzynasty z kolei w dziejach Zjednoczonego Królestwa lord Dalston, usłuchał głosu rozsądku.

Zszedł z feralnego muru, sprowadził Tessę z wieży na dziedziniec i nie prezentując jej już lochu ani innych, równie przerażających zakamarków zabytkowego zamku Castlerigg, odwiózł ją nowoczesną i wygodną lordowską limuzyną prosto do domu w Greyrigg Rise.

Przez całą drogę milczała, intensywnie rozmyślała i coraz bardziej umacniała się wewnątrz przekonaniu, że po przyjeździe na miejsce powinna mu powiedzieć, żeby ją tylko wysadził i jechał sobie dalej w siną dal, a jej dał wreszcie święty spokój. Koniec końców nie zdobyła się jednak na tak radykalne posunięcie i zaproponowała, żeby wszedł do domu na kawę.

Oczywiście, Charles bardzo chętnie zgodził się wejść i równie chętnie pomógł jej zaparzyć tę kawę.

Z filiżankami w rękach przeszli potem z kuchni do saloniku i usiedli w fotelach.

- W automatycznej sekretarce świeci się lampka – zauważył Charles, zerknąwszy na aparat telefoniczny. – Ktoś zostawił dla ciebie wiadomość.
- Może agent nieruchomości znalazł już kogoś, kto chce wynająć ten

dom? – zaczęła się głośno zastanawiać Tessa. – A może...

– Najlepiej sprawdź.

– Racja!

Podeszła do aparatu ulokowanego na małym stoliku w kącie pokoju i wciskając odpowiedni klawisz, uruchomiła taśmę z nagraniem.

– Tu mówi Emma, niania Bena! – rozległ się lekko stłumiony, wyraźnie drżący ze zdenerwowania i przejęcia głos. – Panno Tesso! Jeśli pani tam jest, w domu siostry, to proszę posłuchać, co się stało, tu w Newcastle. Właśnie zostałam zwolniona! Pani Blainey mnie wyrzuciła. Od początku się jej nie podobałam, ale Ben beze mnie strasznie płakał, więc trzymała mnie do tej pory. Ale teraz, po pani wizycie, wywaliła mnie z pracy i już! Powiedziała, że znajdzie odpowiedniejszą osobę...

– Wielki Boże! – szepnęła zbulwersowana Tessa, z wrażenia wylewając na podłogę trochę kawy i bezwładnie opadając na fotel.

– A nie mówiłem? – rzucił Charles.

– Panno Tesso! – mówiła dalej Emma. – Proszę mi wierzyć, mały Ben jest u babki strasznie nieszczęśliwy. Nic mu tutaj nie wolno, ani pobiegać, ani pohłasować. Chodzi ubrany jak jakiś paniczyk z zamierchłej przeszłości, poturlać się w domu po podłodze nie może, pobawić się w parku w piaskownicy też nie, najwyżej sztywno pospacerować. A ta nowa opiekunka, która teraz ma do niego przyjść, od razu się spodobała pani Blainey, jak tylko ją przysłali z agencji na wstępną rozmowę. To stara panna, taka sucha jędra. Ja sama się jej przestraszyłam, a co dopiero Ben.

– Do stu diabłów! – zirytowała się Tessa, odzyskując przy okazji energię i opanowując z powodzeniem rozdygotane nerwy. – To przecież po prostu skandal, co ta bezczelna babka wyprawia!

– Prawda? – wtrącił Charles.

– Panno Tesso, ja już nic nie mogę zrobić. – Głos Emmy pobrzmiwał rozgoryczeniem i rezygnacją. – Muszę wsiąść do pociągu i wracać do mojej rodzinke, do Keswick... to znaczy do mamy i ojczyma. Na wszelki wypadek podaję pani telefon – tu Emma podyktowała numer. – I bardzo panią proszę, żeby pani coś zrobiła, bo...

W tym momencie Emmie najprawdopodobniej wyczerpała się karta telefoniczna, bo połączenie zostało w pół zdania przerwane.

- No i co zrobisz? - spytał Charles, przerywając pełną napięcia ciszę, jaka na moment zapanowała w pokoju.

- Odbiorę Bena tej jędy i już! - stwierdziła zdecydowanie Tessa.

- A Donald? Wzruszyła ramionami.

- Będzie musiał to przełknąć i tyle albo... - zawiesiła głos.

- Albo co?

- Nieważne! Podwieszysz mnie na stację kolejową do Keswick?

- Do Keswick kolej nie dochodzi - wyjaśnił Charles. - Żeby wsiąść do pociągu, trzeba najpierw dojechać z Keswick autobusem do Penrith...

- No więc podwieź mnie do tego autobusu, zamiast mi opowiadać szczegółowo o tutejszej komunikacji - zniecierpliwiła się Tessa.

- Nie!

- Dlaczego?

- Bo nie chcę, żebyś pchała się sama do jaskini lwa i narażała się na pożarcie żywcem - odparł Charles nie dopuszczającym sprzeciwu tonem. - Dlatego nie zawiozę cię ani do Keswick, ani do Penrith, tylko prosto do Newcastle. I jako twój wierny rycerz nie odstąpię cię bodaj na krok aż do szczęśliwego zakończenia wyprawy! - zapewnił uroczyście.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Tessa i Charles wyruszyli w drogę niemal natychmiast, nie tracąc niepotrzebnie ani chwili, więc jeszcze tego samego dnia, w sobotę, wczesnym wieczorem dotarli do Newcastle.

Gdy tylko podjechali pod dom Margot Blainey i wysiedli z samochodu, usłyszeli dobiegający z otwartego okna na pierwszym piętrze głośny szloch Bena.

- Ja... chcę... do mojej... Emmy! Do Emmyyy - spazmował rozszalony czterolatek.

- Emma sobie poszła i teraz jesteś z panną West! I masz być grzeczny! - strofowała wnuka podniesionym głosem pani Blainey.

- I masz natychmiast zjeść to jajko! - piskliwie pokrzykiwała na malca jakaś inna kobieta, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nowa niania.

- Ja... nie chcę... jajka! - protestował gwałtownie Ben, nadal zanosząc się od płaczu. - Ja... chcę... do mojej. .. Emmy! Do Emmyyy!

- Emma wyjechała, ja będę się tobą teraz opiekować, więc nie becz! - odezwała się na to zniecierpliwioną panna West. - Tylko zjedz zaraz to jajko, bo jak go nie zjesz, to...

- Ja nie chcę jajka, ja chcę do Emmy! - przerwał jej zapłakany malec.

- .. .to pójdziesz spać głodny, bo nic innego nie ma na kolację - dokończyła niania.

- Ja nie chcę kolacji, ja chcę do...

- Milcz, rozdarcuchu! - wrzasnęła Margot Blainey, zagłuszając płacz Bena. - Proszę go zaraz kłaść do łóżka, panno West - wydała polecenie opiekunce. - Skoro nie chce jeść, to niech nie je. Jak się przegłodzi, to nabierze apetytu. A jak dostanie lanie, to z pewnością nabierze też rozumu.

- No, bez przesady, babuniu! - mruknął ostrzegawczym tonem Charles.

- Dość już tego, moja pani! - syknęła doprowadzona do pasji Tessa.

Pierwsza dopadła do drzwi, nacisnęła na dzwonek i nie puściła przycisku, póki w drzwiach nie pojawiła się tęga, czerwona na twarzy służąca.

- Z drogi! Zabieram stąd Bena! - krzyknęła Tessa, odpychając zaskoczoną kobietę i energicznie wkraczając do holu.

- Ale pani Blainey...

- Milczeć! - ryknął Charles, nie pozwalając służącej na żadne bezsensowne wykręty.

Tessa pierwsza wbiegła po schodach na górę, Charles pośpiesznie ruszył jej śladem, a zatrwożona służąca poczłapała za nimi.

Drzwi pokoju na pierwszym piętrze, zza których dobiegał szloch dziecka i podniesione, uragilne głosy dwu kobiet, zostały otwarte na oścież tak gwałtownie, że omal nie wypadły z zawiasów.

Tessa, całkowicie ignorując obecność pani Blainey i panny West, podbiegła do zapłakanego Bena, który siedział na drewnianym stołeczku przy nakrytym do kolacji niskim, dziecięcym stoliku. Złapała go na ręce i przytuliła.

- Już dobrze, Ben. Już dobrze, biedny mały skrzacie - zaczęła mu szeptać do ucha. - Zaraz cię stąd zabiorę. Już nie płacz.

W czułych, serdecznych objęciach malec uciszył się niemal natychmiast.

I spojrzawszy Tessie z bliska prosto w oczy, wypowiedział jedno jedyne słowo:

- Mama.

Wzruszona, objęła go i przytuliła jeszcze mocniej.

I w jednej chwili powzięła ostateczne, nieodwołalne postanowienie, że już nigdy go nie opuści. Bez względu na cokolwiek i kogokolwiek będzie już zawsze przy nim, wypełniając ostatnią wolę zmarłej siostry i podporządkowując się głosowi własnego sumienia i serca.

- Co pani najlepszego robi, panno Flanagan? Jak pani śmie? - wybuchnęła oburzeniem pani Blainey, która w pierwszej chwili oniemiała wprawdzie ze zdumienia, ale ochłonawszy nieco, błyskawicznie odzyskała rezon.

- Robię to, do czego mam pełne prawo - odpowiedziała Tessa, dziwiąc się samej sobie, że mimo ogromnego zdenerwowania, mówi dobitnie i

spokojnie. – Zabieram Bena do domu.

– To nonsens! Pani nie może...

– Mogę.

– Ale to jest przecież mój wnuk!

– Ale to ja jestem jego prawną opiekunką, a nie pani – odpowiedziała Tessa. – Dlatego proszę mi się nie sprzeciwiać, tylko natychmiast spakować rzeczy Bena. Wizyta u babci skończona. Wyjeżdżamy!

– Ależ... ja nie pozwolę!

Stojący dotąd w milczeniu w otwartych drzwiach pokoju Charles Cameron postąpił pół kroku do przodu i odezwał się cichym, ale stanowczym głosem:

– Pozwoli pani...

– Nie!

– Pozwoli pani sobie wyjaśnić – Charlie był w swoim wywodzie opanowany, wręcz powściągliwy, lecz konsekwentny – że nie dysponuje pani żadnymi możliwościami powstrzymania nas przed zabranie stąd tego dziecka. Zwłaszcza, że pani metody wychowawcze...

– Młody człowieku! – przerwała mu Margot Blainey, przyjmując równocześnie dumną, wyniosłą, prawdziwie wielkopańską postawę i zmierzyszy go pogardliwym spojrzeniem. – Kim pan właściwie jest, że ośmiela się prawić mi morały? Jakimś, pożałuj się Boże, doradcą prawnym z krainy kangurów?

Beznamiętny dotychczas wyraz twarzy Charliego przekształcił się nagle w groźnego, pochmurnego marsa. Gęste, czarne brwi zmarszczyły się, rysy stężyły, ciemnogrnatowe oczy błysnęły gniewem.

– Jestem Charles Cameron, trzynasty lord Dalston! – huknął tubalnym głosem, podając oniemialej Margot Blainey swoją lordowską wizytówkę. – Proszę się nie ociągać, tylko natychmiast spakować rzeczy chłopca, moja dobra kobieto – dodał protekcyjnie. – Ja i moja obecna tu narzeczona, panna Tessa Flanagan, nie mamy zbyt wiele czasu, więc proszę się pośpieszyć.

– Ależ, milordzie... – jęknęła pani Blainey.

Charles zignorował ją całkowicie.

- Kochanie! - zwrócił się do Tessy. - Zabierz Bena od razu do samochodu, z łaski swojej, a ja tutaj zaczekam jeszcze na jego rzeczy.

Tessa, z dzieckiem na rękach, nie czekając ani chwili, opuściła dom Margot Blainey i usadowiła się na tylnym siedzeniu zaparkowanego przed frontowym wejściem jaguara.

Małec, wtulony ufnie w jej ramiona, usnął, gdy tylko Charles zjawił się ze spakowanymi w dwie podróżne torby rzeczami, ulokował je w bagażniku, zajął miejsce za kierownicą i uruchomił pojazd.

- Chyba czuje się bezpiecznie, skoro śpi - zauważyła Tessa.

- Tym bezpieczniej, im dalej od Newcastle.

- O, właśnie! - przytaknęła.

- A ty?

- Nie rozumiem.

- No, jak ty się czujesz? - skonkretyzował pytanie Charles.

- Czuję się dość niepewnie - przyznała się Tessa. - A nawet bardzo niepewnie.

- To nie namyślaj się już dłużej i wyjdź za mnie! We dwójkę zawsze raźniej.

- Ty znowu swoje.

- Cóż, skoro masz już dziecko, przydałby ci się do kompletu jeszcze mąż - argumentował Charles. - Dobry mąż, taki jak ja! No, bo ja chyba jestem dobry dla ciebie i dla Bena, prawda?

- Teraz tak - przyznała z powagą Tessa. - Ale jaką mogę mieć gwarancję, że będziesz dobry po ślubie? - spytała pół żartem, pół serio.

- Dam ci skautowskie słowo honoru! - odparł Charles, podchwytyjąc jej ton.

- Powiedz mi szczerze, Charlie, serdecznie cię o to proszę. - Pełna wątpliwości i niepokoju Tessa z powrotem spoważniała. - Dlaczego ty, właściwie...

- Bo cię kocham, przecież mówiłem!

- Nie wierzę.

- Bo mi się podobasz!
- Wątpię.
- Bo chcę ci pomóc w wychowaniu Bena!
- Ale dlaczego?

Charles nie zdażył odpowiedzieć na to pytanie, ponieważ wjechali akurat do Penrith. Zatrzymali się przy stacji benzynowej, kupili w nocnym barze trzy porcje ryby z frytkami, obudzili Bena i namówili go, żeby zjadł trochę na kolację. Potem sami również się posilili i dopiero wtedy wyruszyli w dalszą, niedaleką już drogę, przez Keswick do Greyrigg Rise.

Kiedy dotarli na miejsce, Tessa natychmiast zanosła rozespanego Bena na górę i położyła go do łóżka. Długo nie mogła jednak od niego odejść, ponieważ budził się, ilekroć próbowała zostawić go samego w jego dziecięcym pokoju, zaczynał popłakiwać i prosił, żeby jeszcze przy nim posiedziała.

Nim zeszła na dół, zaczęło już lekko świtać.

Charles czekał jednak na nią cierpliwie w saloniku, z dwoma dużymi kieliszkami na srebrnej tacy i butelką francuskiego szampana, zanurzoną w srebrnym wiaderku z lodem.

Tessa stanęła w drzwiach zdezorientowana.

- Charlie, skąd masz to wszystko? - zdziwiła się. - I co ty w ogóle planujesz? Chcesz mnie upić?

- Szampana znalazłem w spiżarni, lód w lodówce, a naczynia w kuchni - wyjaśnił, unosząc się z fotela. - I planuję wspólnie z tobą uczcić fakt, że powoli stajemy się rodziną: ty, ja i Ben.

- A Donald?

- Do diabła z nim! - machnął ręką. - Przecież on nie chce Bena.

- A ty chcesz?

- Tak.

- Ale dlaczego? - Tessa powtórzyła pytanie, które zadała Charliemu już wcześniej, w samochodzie, i na które nie uzyskała wtedy odpowiedzi. - Przecież to nie twoje dziecko...

- A pamiętasz Backblow Street w Londynie, hotel „Pierwiosnek”?

Tessa wzruszyła ramionami i mruknęła:

- No, pamiętam. Ale co z tego?

- Po tym kopniaku, którym mnie wtedy poczęstowałaś, już pewnie nie spłodzę potomstwa - wyjaśnił Charles - więc opieka nad cudzym dzieckiem to dla mnie jedyna szansa na zakosztowanie ojcostwa.

- Przesadzasz!

- Z czym? - zaczął się droczyć Charlie.

- No, ze skutkami tego kopniaka.

- Wcale nie jestem taki pewien. Na wszelki wypadek należałoby teraz sprawdzić, czy cokolwiek u mnie w ogóle działa.

- Tylko nie ze mną!

- A dlaczego? - rzucił Charles z błyskiem w oku i zanim Tessa zdołała się zorientować w jego niecnym, uwodzicielskich zamiarach, zbliżył się do niej, złapał ją za obydwie ręce i przyciągnął ku sobie.

- Daj spokój! - obruszyła się.

- A właśnie, że nie dam! - oświadczył z powagą. Objął ją mocno i pocałował w usta.

To wystarczyło!

Poczuła nagle, że w objęciach tego mężczyzny ogarnia ją coś bardzo dziwnego. Coś, czego absolutnie nie знаła dotąd z własnego doświadczenia i o czym tylko czasami z pewnym niedowierzaniem czytywała w powieściowych romansach i kobiecych magazynach: pożar krwi!

Niepohamowane, gorące pożądanie.

Burzliwa, rozhukana namiętność.

Miłosny szal.

Tessa nie miała o mężczyznach zbyt dobrego mniemania, ponieważ matka, którą niefrasobliwy małżonek opuścił w kilka lat po ślubie i zostawił samą z dwiema małymi córeczkami, już w dzieciństwie nakładła jej do głowy, że są niewiele warci. Natomiast skąpy, praktyczny i prozaiczny w każdym calu, i niespecjalnie uczuciowy narzeczoney utwierdził ją w przeświadczeniu, że jeśli nawet mężczyźni bywają czasami przydatni, to nigdy - porywający.

Jednak Charlie...

Charlie musi być jakiś inny niż Donald, myślała gorączkowo. Zupełnie inny. Inny niż wszyscy!

Zachowuje się jak wariat.

Rozśmiesza.

Zadziwia.

Pomaga w trudnych sytuacjach, chociaż sam stwarza jeszcze trudniejsze.

I porywa, porywa, porywa.

Właśnie!

W tym akurat momencie Charles porwał ją na ręce i nie bawiąc się w żadne wyjaśnienia, zapytał lakonicznie:

- Do sypialni?

- Nie, Charlie... - szepnęła w odpowiedzi.

Nie chciała kochać się z mężczyzną na małżeńskim łożu siostry i szwagra.

Nie chciała niepokoić duchów, gdyby jeszcze tam pokutowały.

Charles rozumiał.

Trzymając ją nadal w ramionach, złapał jeszcze w rękę koc, który leżał na sofie i energicznym krokiem skierował się... do kuchni.

- Bo kuchnia to serce domu, a ty z kolei jesteś moim sercem! - tłumaczył jej z przejęciem w drodze przez mroczny hol.

W kuchni było przytulnie.

W kuchni było jasno i ciepło.

Było dobrze, chociaż koc leżał na twardej drewnianej podłodze.

Było jak w niebie!

A przynajmniej jak na karuzeli.

Tessa poczuła w sobie jakąś niesamowitą lekkość, która zapewniła jej całkowite oderwanie się od wszelkich przyziemnych spraw!

Ta lekkość przyprawiła ją o zawrót głowy.

I dała jej niesamowite wrażenie lotu, w przepaść bez dna albo raczej ku szczytom ekstazy.

Nigdy dotąd nie czuła się tak fantastycznie, tak wspaniale.

I tak pewnie!

Nie wahała się bodaj przez moment, nie miała żadnych wątpliwości, żadnych skrupułów, żadnych zahamowań. Zachowywała się tak, jakby wiedziała intuicyjnie, że poddając się urokowi Charliego, jego miłosnym zaklęciom, jego pieszczotom i pocałunkom, robi właśnie to, co powinna zrobić, chcąc przeżyć... Co przeżyć?

Chwilę rozkoszy i zapomnienia?

A może raczej – miłość swojego życia?

Charles Cameron, trzynasty lord Dalston, był w miłości po prostu niespożyty.

Był wspaniały, niezrównany, nadzwyczajny.

Był czuły, namiętny, zniewalający,

Czyż można się więc dziwić Tessie Flanagan, że odpowiedziała „tak”, kiedy zapytał ją nad ranem, czy za niego wyjdzie?

ROZDZIAŁ ÓSMY

Kiedy szalona, gorąca, gwiazdzista letnia noc stała się pięknym, słonecznym, letnim dniem, a ścienny zegar wybił godzinę szóstą rano, Charles usnął, a Tessa wymknęła się z kuchni, żeby zadzwonić do Donalda, do Australii i zerwać zaręczyny.

Nie będę czekać już ani chwili dłużej! – rozmyślała gorączkowo, przebiegając najpierw przez hol do łazienki po szlafrok, a potem przechodząc po cichutku do salonu, gdzie znajdował się aparat telefoniczny. – Tam w Australii jest teraz trzecia po południu, Donald powinien być w domu. Pewnie jak zwykle w niedzielę o tej porze tkwi przed telewizorem i ogląda jedną po drugiej transmisje rozgrywek piłkarskich.

Z trudem opanowawszy wywołane zdenerwowaniem drżenie ręki, Tessa wybrała numer, najpierw ten międzynarodowy, do Australii, potem kierunkowy do Melbourne, a wreszcie ten ostatni, miejski

Po kilku długich sygnałach w słuchawce telefonu odezwał się naburmuszony męski głos.

– Halo! Kto mówi? – burknął z drugiej półkuli Donald, wyraźnie zirytowany, że ktoś mu przeszkadza w oglądaniu futbolu.

– To ja!

– Tessa?

– Tak.

– Skąd dzwonicz?

– Z Anglii.

– Bój się Boga, dziewczyno, przecież ta rozmowa będzie cię kosztowała.

– Donald, nic nie mów, tylko posłuchaj, bardzo cię proszę, coś się w moim życiu wydarzyło, coś wyjątkowo ważnego! – oświadczyła z przejęciem Tessa, przerywając narzeczonemu i starając się wypowiedzieć jak najszybciej wszystko, co miała mu do powiedzenia. – Zatrzymuję przy sobie Bena, na stałe. I życzę ci wszystkiego najlepszego na przyszłość, ale wychodzę za mąż za kogoś innego, tutaj, w Anglii. Nasze wspólne plany to była z mojej strony kompletna pomyłka, Donald. Dlatego zapomnij o mnie

jak najszybciej i nie miej do mnie żalu. Cześć!

Odłożyła słuchawkę.

Nie chciała niczego więcej tłumaczyć ani niczego wysłuchiwać. Po prostu uznała pewien rozdział w swoim życiu za zamknięty.

Wyszła z salonu i wróciła do kuchni.

Charlie już nie spał.

Spojrzał na nią uważnie i promiennie się do niej uśmiechnął na powitanie. A potem podniósł się z rozłożonego na podłodze koca, golutki, jak go Pan Bóg stworzył, i w tej swojej bezwstydnym nagości imponująco i kusicielsko męski, podszedł do Tessy, zsunął jej z ramion kąpielowy szlafrok i naga wziął w objęcia.

- Jesteśmy do siebie idealnie dopasowani... pod każdym względem... chyba to widzisz... chyba to czujesz... prawda? - szeptał jej w krótkich przerwach między kolejnymi gorącymi pocałunkami.

A ona zdlawionym, aż matowym z emocji głosem odpowiadała niezmiennie:

- Tak... tak... tak... tak... tak.

- Wyjaśniłaś sprawę Donaldowi? - zapytał w końcu, odrywając usta od jej warg, cofając głowę i spoglądając jej z powagą prosto w oczy.

- Tak - potwierdziła po raz szósty. - Właśnie dzwoniłam do niego, do Australii. Słyszałeś?

- Trochę. Ale nie wsłuchiwałem się.

- To dobrze.

- Natomiast właśnie przed chwileczką znalazłem coś dla ciebie.

- Gdzie?

- W kieszeni mojej eleganckiej koszuli, która po naszym nocnym szaleństwie leży sobie tuż obok koca na podłodze. Zobacz!

Otworzył zaciśniętą dotychczas lewą dłoń, a na tej dłoni, pokaźnej, męskiej, mocnej, troszeczkę nawet sękatej i w związku z tym zdecydowanie bardziej pasującej do spracowanego fizycznie australijskiego farmera niż do wypielegnowanego angielskiego lorda, Tessa ujrzała pierścionek.

Niezwykły pierścionek!

Cieniutką, delikatną obrączkę ze złota z pojedynczym, ale za to ogromnym brylantem!

- To na nasze zaręczyny - powiedział Charles. - Zaraz ci go założę, żebyś nie była taka goła!

Z uśmiechem wsunął Tessie zaręczynowy brylant na serdeczny palec lewej ręki. I pocałował ją jeszcze raz. I szepnął jej czule do ucha:

- Kocham cię!

- Ja też cię kocham - odpowiedziała.

- A nie odkochasz się?

- A ty?

- Ja? Nigdy! - zapewnił uroczyście. - Skautowskie słowo honoru.

- Ja też nie - stwierdziła z przekonaniem Tessa.

- No więc bez obaw możemy się pobrać! A nawet musimy, nie chcąc wywoływać życia na kocią łapę zgorzenia w konserwatywnej Anglii.

- Do piątku?

- Tak byłoby najlepiej.

- Ale ty nie żenisz się ze mną ze względu na zamek, prawda, Charlie?

Charles Cameron w pierwszym odruchu nerwowo odchrząknął, jednak po chwilowym namyśle odpowiedział już całkiem spokojnie:

- Z całą pewnością nie ze względu na zamek, najdroższa, chociaż nie będę przed tobą ukrywał, że darzę tę historyczną ruinę ogromnym sentymentem. Ale, ma się rozumieć, zdecydowanie wolę ciebie!

- O nieba! Ty jak już coś powiesz, Charlie... - zachichotała Tessa.

- To powiem i już, prawda? - Charles również się roześmiał. - I teraz właśnie mówię - dodał po chwili - że po pierwsze, jeszcze dzisiaj odnajdziemy Emmę i sprowadzimy ją tutaj, do Greyrigg Rise, żeby zajęła się Benem.

- A po drugie?

- Po drugie, jutro rano pojedziemy do Penrith i omówimy z moim prawnikiem wszystkie formalne szczegóły naszego ślubu. A potem kupimy dla ciebie najpiękniejszą na świecie ślubną suknię.

- W Penrith?

- W Penrith albo w Londynie, gdzie zechcesz. Ale to wszystko potem, bo teraz... - Charles najpierw niżył głos do zmysłowego szeptu, a potem dla spotęgowania napięcia zrobił pauzę.

- Teraz co?

- Teraz po prostu wezmę cię w ramiona i będę cię kochał, kochał, kochał!

Ben znalazł ich godzinę później.

Uszczęśliwieni i radosni, choć wyczerpani żywiołowymi, pełnymi ognia miłosnymi igraszkami, leżeli właśnie w błogim nastroju na rozłożonym na podłodze kocu, nakryci grubym kąpielowym szlafrokiem, kiedy ubrany w kolorową piżamkę malec wsunął się z zaciekawieniem do kuchni, ciągnąc za sobą za łapę sporego pluszowego misia.

- Ojej! To wy tutaj jesteście? - zapytał retorycznie. Tessa zarumieniła się i chcąc ukryć zakłopotanie, wsunęła głowę pod szlafrok.

- Jesteśmy - odpowiedział Charles.

- A co robicie?

- Robimy sobie biwak!

- A co to jest biwak?

- To, co widzisz: spanie na podłodze.

- W kuchni?

- Tak.

- W piżamie?

- Raczej bez.

- Bez piżamy? No tak, ciocia ma przecież gołe nogi - spostrzegł Ben.

Zawstydzona Tessa schowała nogi pod szlafrok i wysunęła głowę.

- Lubisz biwaki w kuchni, ciociu? - zapytał ją siostrzeniec.

- Raczej... tak...- wykrztusiła.

- Ja chyba też lubię - stwierdził Ben. - Ale mama nigdy mi nie pozwalała bawić się tu na dole, mówiła, że narobię bałaganu.

- A ja chyba nawet lubię bałagan, wiesz? - odezwał się Charles. - I twoja ciocia chyba też lubi. Gdy zamieszkasz razem z nami, Ben, to

będziesz mógł się bawić w całym domu, gdzie tylko zechcesz, i bałaganić bez ograniczeń.

- Ale ja chcę mieszkać z Emmą! - stwierdził zdecydowanie czterolatek.

- To postaramy się ją tu do nas zaprosić.

- Na stałe?

- Tak.

- Naprawdę?

- Jasne!

- Hura!!! - wykrzyknął malec i wyściskał z radości swojego pluszowego ulubieńca. - To biegnę na górę i opowiem o tym wszystkim moim misiom!

Zanim radośnie podekscytowany Ben przybiegł z powrotem, Tessa i Charles zdążyli się ubrać i sprzątnąć prowizoryczne posłanie.

- Ojej, to wy już nie robicie biwaku? - zapytał wyraźnie rozczarowany.

- Tutaj, w kuchni, już teraz nie robimy - mruknął Charles.

- A dlaczego?

- Bo teraz trzeba zjeść śniadanie.

- A po śniadaniu? - Czterolatek, z właściwą swojemu wiekowi dociekliwością, nie poprzestawał na pojedynczym pytaniu, tylko natychmiast po uzyskaniu odpowiedzi zadawał następne.

- Po śniadaniu... hm,.. moglibyśmy się chyba wybrać nad jezioro Derwent Water, skoro dzisiaj niedziela i zapowiada się naprawdę ładna pogoda - wpadł na pomysł Charles, wyjrzawszy przez okno na ozłocony porannym słońcem ogród. - Chcesz, skrzacie?

- Pewnie! A weźmiemy ciocię?

- Ma się rozumieć.

- A będziesz mnie woził łódką?

- A jaką?

- A nadmuchiwaną.

- Będę.

- A zbudujesz ze mną nad jeziorem wielgachny zamek z piasku?

- Zbuduję. I kiedyś ci pokażę mój prawdziwy zamek, Castlerigg.

- Prawdziwy zamek? - Ben zrobił ze zdumienia wielkie oczy. - Jak masz prawdziwy zamek, to pewnie jesteś prawdziwym rycerzem! - skonstatował z niepodważalną dziecięcą logiką i komiczną dziecięcą powagą.

- Jasne, że jestem! - potwierdził Charles.

- Ojej, ja też chciałbym zostać rycerzem! - rozmarzył się malec. - Jak urosnę...

- Żeby urosnąć i zostać prawdziwym rycerzem, Ben, trzeba najpierw ładnie zjeść na śniadanie porcję mlecznej zupy - wtrąciła się do „męskiej” rozmowy Tessa, która do tej pory w milczeniu krzątała się przy kuchni.

I zarządziła:

- Natychmiast siadajcie obydwoj do śniadania, dzielni rycerze!

Po śniadaniu, zgodnie z powziętym planem, wybrali się nad pobliskie jezioro Derwent Water.

Tessa, korzystając z wolnego czasu i pięknej, słonecznej pogody, wylegiwała się na kocu, a Charles niestrudzenie zajmował się Benem.

Odpowiadał na niezliczone pytania malca, woził go pontonikiem po jeziorze.

Brodzili też razem po płytkiej wodzie, taplali się w nadbrzeżnym błocie i wznosili jedną po drugiej coraz to bardziej wymyślne konstrukcje z piasku.

- Tak dziś budujesz, Charlie, i budujesz... - mruknęła w którymś momencie rozleniwiona Tessa. - Nie nudzi cię to przypadkiem?

- Nie, bo przecież w ten sposób buduję rodzinę! - odpowiedział z powagą.

Wieczorem dodzwonili się do Emmy, do Keswick.

Bardzo się ucieszyła usłyszawszy, że Ben został raz na zawsze uwolniony spod niesympatycznej kurateli pani Blainey i panny West, i oczywiście zgodziła się znów przyjąć posadę jego opiekunki.

- Tylko od kiedy, panno Flanagan? - spytała Tessę, która rozmawiała z nią przez telefon.

- Od kiedy? - powtórzyła Tessa, zwracając się do siedzącego obok w

fotelu Charlesa.

- Od jutra! - odparł bez namysłu. - Powiedz Emmie, że wstąpimy po nią po południu do Keswick w drodze powrotnej z Penrith.

- Od jutra - rzuciła Tessa w słuchawkę. - Będziemy w Penrith i wracając wstąpimy do Keswick. Po południu. Może tak być?

- Jasne!

W poniedziałek, wczesnym przedpołudniem, bezpośrednio po śniadaniu, Tessa, Charles i Ben pojechali do Penrith i zameldowali się całą trójką w kancelarii prawniczej mecenasa Edwina Robertsza.

- Więc znalazł pan już sobie damę serca, milordzie, nieprawdaż? - odezwał się na powitanie jowialny, pogodnie uśmiechnięty adwokat.

- Jak pan widzi, mecenasie - odparł Charles. - Znalazłem damę serca i to od razu z pięknym, czteroletnim przychówkiem. - Wskazał na Bena.

„Piękny czteroletni przychówek” stał z palcem w buzi, ukryty przezornie za spódnicą Tessy i z zaciekawieniem zerkał od czasu do czasu na wesolutkiego starszego pana, który ze względu na ujmujący uśmiech, siwe włosy i mocno rumiane policzki mógłby być, po doklejeniu sobie długiej brody i włożeniu na głowę wysokiej czerwonej czapki, idealnym wprost Świętym Mikołajem.

- Cudownie! - ucieszył się adwokat. - I zgłaszacie państwo oficjalnie chęć zawarcia małżeństwa?

- Ma się rozumieć, że zgłaszamy! - pośpiesznie odpowiedział w swoim i narzeczonej imieniu Charles Cameron. - Prawda, kochanie?

- Tak, zgłaszamy - potwierdziła z uśmiechem Tessa Flanagan, lekko speszona, ale i trochę rozbawiona całą sytuacją.

- Przed piątkiem.

- Właśnie.

- Cudownie, proszę państwa! - Mecenas Edwin Roberts ucieszył się jeszcze bardziej niż przed chwilą. - W ten sposób - oznajmił, poważniejąc - obecny tutaj trzynasty lord Dalston będzie mógł spełnić warunki testamentu stryja, dwunastego lorda Dalstona, ożenić się przed

ukończeniem trzydziestego roku życia i odziedziczyć...

- ...stary zamek - wtrąciła Tessa.

- Z przyległościami, proszę pani - dodał z uśmiechem adwokat, nie wyjaśniając jednak bliżej, co też konkretnie ma na myśli.

Tessie nie przyszło do głowy wypytywać o szczegóły. Złożyła drżącą lekko z emocji ręką podpis na stosownym dokumencie, tuż obok zamasztyego podpisu lorda Dalstona, i odetchnąwszy z ulgą, że kłopotliwą sprawę formalności prawnych ma już za sobą, z chęcią zgodziła się pójść z Charliem i Benem na lody.

- A teraz wybierzmy ślubną suknię, zgoda? - zaproponował Charles, kiedy już wyszli z lodziarni.

- Zgoda! - ochoczo przystał Ben.

Cóż było robić?

Zakup ślubnej kreacji w takim pośpiechu, bez wcześniejszego zastanowienia się i przejrzenia kilku chociażby magazynów czy żurnali, wydawał się Tessie co prawda istnym szaleństwem, ale przystała na nie, widząc komicznie zaciekawione i rozbrajająco zawadiackie miny narzeczonego i siostrzeńca.

W asyście obydwu swoich „rycerzy” wkroczyła zatem do najelegantszego w prowincjonalnym Penrith, urządzonego ze smakiem w starym, wiktoriańskim stylu salonu ze ślubnymi sukniami oraz najrozmaitszymi dodatkami - od majteczek i biustonosza, po pantofle i welon - niezbędnymi każdej pannie młodej.

I zaczęła jedną po drugiej przymierzać białe kreacje z atlasu, tiulu i koronki.

- Ale masz teraz dużą pupę, ciociu! - wykrzyknął ze zdumieniem Ben, kiedy pojawiła się w fantazyjnej, stylowej sukni z tiurniurą.

Charles zachichotał, a Tessa spłoniła się i uciekła do przymierzalni.

- Ojej, a teraz zderzaki ci wyglądają! - łapiąc się za głowę, palnął czterolatek, ujrawszy ciocię w sukni ze sporym dekoltem.

Rozbawiony Charles omal nie pękł ze śmiechu, a zawstydzona Tessa

znowu się schowała.

Ostatecznie zdecydowała się na dość skromną i prostą, choć w swej prostocie pełną wdzięku i wysmakowanej elegancji, kreację z jedwabiu w kolorze kości słoniowej.

Suknia miała króciutki rękawek, łódkowy dekolt, obszyty prawdziwymi perełkami i była górą dopasowana, w związku z czym, nie odsłaniając niczego, ku zadowoleniu Charlesa uwypuklała jednak wszystko, co należy. Dołem natomiast spływała swobodnie aż do ziemi, układając się w sute, zamaszyste fałdy.

- Ta suknia jest bez zarzutu! - stwierdziła Tessa z przekonaniem, przeglądając się z uwagą w dużym kryształowym lustrze i sygnalizując narzeczonemu oraz siostrzeńcowi, że nie przyjmuje już do wiadomości żadnych uwag czy sugestii z ich strony.

- Przynajmniej krawiec nie pożalował na nią materiału - stwierdził filozoficznym tonem Charles.

- Wziął aż za dużo i z tego, co mu zostało, zrobił z tyłu ogon, który się ciągnie po ziemi - dodał Ben.

- To nie „ogon”, kochanie, tylko tren - wyjaśniła malcowi Tessa. - Taka ozdoba!

- Teren? Bo tak dużo terenu zajmuje, jak się ciągnie, prawda?

Tessa scedowała na Charlesa trud wytłumaczenia rezolutnemu nad wiek czterolatki różnicy pomiędzy terenem a trenem, sama natomiast zniknęła po raz trzeci w przymierzalni, żeby włożyć zwyczajne ubranie, a ślubną suknię oddać sprzedawczyni do zapakowania.

Czy to wszystko dzieje się naprawdę, czy może ja tylko śnię? - zaczęła się zastanawiać, kiedy została na chwilę sama.

A może ja po prostu zwariowałam?

Trzy spokojne dni, jakie nastąpiły po pełnym wrażeń poniedziałku, zdawały się w pełni świadczyć o tym, że wszystko dzieje się jednak na jawie i zgodnie z regułami najzdrowszego rozsądku.

Zabrana z Keswick Emma rozgościła się w swojej dawnej, przylegającej do dziecinnego pokoju służbowce i zajęła się Benem.

Charles własnoręcznie odmalował sypialny pokój na parterze i sprowadził do niego nowe meble, by wewnątrz przestało się Tessie w kłopotliwy sposób kojarzyć z dawną małżeńską sypialnią świętej pamięci Christine i Johna Blaineyów.

Upojną noc z czwartku na piątek spędzili zatem w nowym łóżku.

Natomiast w piątek rano Charles oświadczył, że na dwa dni musi wyjechać z Greyrigg Rise, by pozalać kilka ważnych spraw, związanych z zamkiem.

- Będziesz spał w lochu czy na wieży? - pół żartem, pół serio zapytała Tessa.

- Ani tu, ani tu.

- No więc, gdzie? - zaciekała się.

- U państwa Humphreyów.

- A kim oni są?

- Opiekunami zamku - wyjaśnił z uśmiechem Charles. - Mieszkają w pobliżu, w niewielkim starym domu i mają obydwójce po osiemdziesiąt lat, ale trzymają się jeszcze całkiem krzepko.

- Osiemdziesiąt lat, piękny wiek! - westchnęła z podziwem.

- My też takiego dożyjemy, zobaczysz! - stwierdził z przekonaniem Charles, biorąc ją w ramiona. - Bo jak już weźmiemy ślub, to będziemy żyli jak w bajce, długo i szczęśliwie.

- A co będzie, jeśli zechce nam zaszkodzić jakaś zła czarownica? - rzuciła Tessa z obawą, tuląc się mocniej do narzeczonego.

- Nie damy się jej i tyle! Odprawimy ją z kwitkiem! Pokażemy wiedźmie, gdzie pieprz rośnie i raki zimują, jakem lord Dalston, pan na zamku Castlengg! - zapewnił buńczucznie Charles.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Charles wyjechał do zamku Castlerigg zaraz po piątkowym śniadaniu.

A w piątek po południu niespodziewanie zjawiła się w Greyrigg Rise Margot Blainey.

Pierwszy spostrzegł ją Ben, jeszcze z daleka, przez okno swego pokoiku na piętrze. Natychmiast głośno się rozplakał, dopadł do opiekunki, zrozpaczony rzucił się jej w ramiona i ani na chwilę nie przestając szlochać, przywarł do niej ze wszystkich sił.

- On się boi, że pani Blainey znowu go zabierze - wyjaśniła Emma przestraszonej Tessie, która na odgłos dziecięcego płaczu pośpiesznie wbiegła na górę, żeby sprawdzić, co się stało.

Tessa podeszła do okna, wciąż mając cień nadziei, że malcowi coś się przywidziało i uznał za własną babcie kogoś zupełnie innego: listonoszkę, przypadkową spacerowniczkę czy sąsiadkę.

Niestety, jednak to Margot Blainey we własnej osobie kroczyła w stronę wejściowych drzwi, z marsową miną na twarzy i pokazną czarną parasolką w dłoni.

- Nic się nie bój, Ben, nikomu cię nie oddamy! - zapewniła zapłakanego siostrzeńca, targając mu pieszczotliwie jasną czuprynkę. I odważnie, chociaż nie bez podświadomych obaw, zbiegła na dół, by stawić czoło niespodziewanemu najeźdźcy z Newcastle.

Kiedy zadźwięczał dzwonek, ostrożnie uchyliła drzwi i rzuciła oschle:

- Pani w sprawie...

- Sprawę mam, ale do lorda Dalstona - oświadczyła pani Blainey.

- Jest nieobecny, więc proszę wstąpić raczej kiedy indziej - stwierdziła Tessa.

- A jednak wejdę raczej teraz, panno Flanagan! - syknęła starsza dama, po czym, kierując sztorc swojej ostro zakończonyj parasolki w stronę spłoszonej Tessy, zmusiła ją do odsunięcia się z drogi, sforsowała próg domu i wparadowała do środka.

Rozglądając się podejrzliwie na wszystkie strony, przeszła energicznym

krokiem przez hol i wkroczyła do salonu, gdzie Ben bawił się przez całe przedpołudnie kartonami po sprowadzonych przez Charliego meblach i budował sobie z nich, przy współudziale Emmy, kolejno – najpierw szalasy, potem tunel, a ostatecznie zamek.

– Co się dzieje w domu mojego syna?! – wykrzyknęła z oburzeniem pani Blainey. – Co to jest? – Wskazała parasolką na kartonową konstrukcję.

– Nie dzieje się tu nic szczególnego – odpowiedziała Tessa, starając się panować nad emocjami i nie dać się ani zastraszyć, ani niepotrzebnie rozłościć. – To są po prostu opakowania po nowych meblach – wyjaśniła.

– A gdzie są te meble?

– W sypialni.

– A skąd się wzięły?

– Zostały sprowadzone.

– A po co? – nie ustawała w bezceremonialnych indagacjach pani Blainey.

– Bo tamto dawne umeblowanie nam nie odpowiadało, proszę pani! – wyjaśniła Tessa, podnosząc lekko głos pod wpływem zniecierpliwienia.

– Nam? To znaczy konkretnie, komu, panno Flanagan?

– Mnie i mojemu przyszłemu mężowi.

– To wy zamierzacie tu teraz mieszkać? W domu mojego świętej pamięci syna? – wybuchnęła świętym oburzeniem Margot Blainey.

– To jest w tej chwili dom Bena, proszę pani – zauważyła Tessa.

– Ano właśnie, panno Flanagan, to jest dom Bena! – podkreśliła starsza dama. – Gdybym ja wzięła Bena do siebie, do Newcastle, a ten wygodny, luksusowy dom w pięknej okolicy wynajęła komuś odpowiednio zamożnemu, zgromadziłabym przez kilka lat sporą fortunę.

– Ano właśnie! – wtrąciła Tessa, celowo przedrzeźniając swoją rozmówczynię.

– Oczywiście, to byłyby pieniądze przeznaczone tylko i wyłącznie na potrzeby mojego wnuka – wyjaśniła pospiesznie Margot Blainey, zorientowawszy się, że powiedziała przed chwilą trochę zbyt wiele.

– Podstawową potrzebą Bena, proszę pani, jest w tej chwili potrzeba

miłości – stwierdziła Tessa. – A pani, niestety, absolutnie nie potrafi jej zaspokoić.

– Czyżby? Śmie pani wątpić w moją miłość do wnuka, panno Flanagan?

– Tak, śmiem wątpić.

– A ja wątpię w miłość lorda Dalstona do pani! – wykrzyknęła pani Blainey, piorunując Tessę wzrokiem, wznosząc do góry parasolkę i wymachując nią niczym wiedźma kosturem albo zbójca maczugą. – Żeni się dla interesu, a jak ten interes będzie już załatwiony, to nawet nie spojrzy w pani stronę.

– To są wyłącznie pani przypuszczenia, więc proszę łaskawie zachować je dla siebie. I proszę natychmiast opuścić ten dom! – zniecierpliwiła się Tessa.

– A już sobie idę, już idę – mruknęła uraglawie starsza dama, kierując się zamaszystym krokiem dragona ku wyjściu. – Tylko jeszcze to pani powiem, panno Flanagan, że bez ożenku lord Dalston dostałby po swoim stryju fię z makiem, a nie zamek Castlerigg i przypisane do niego ogromne dobra ziemskie.

Zbulwersowana usłyszaną informacją, Tessa wybiegła za panią Blainey do holu.

– Chwileczkę! – zatrzymała ją tuż przy drzwiach wyjściowych. – O jakich właściwie dobrach ziemskich pani mówi?

– O tysiącach akrów ziemi ornej i pastwisk w całej krainie jezior, panno Flanagan. I o setkach stojących na tej ziemi nieruchomości, w tym o prawie całym miasteczku w okolicy zamku. O całej ogromnej fortunie starego lorda Dalstona. Można się zdobyć na wiele, panno Flanagan, żeby to wszystko zgnać, nawet na komediancki ożenek z taką głupią gesią, jak pani. Żegnam!

Wypowiedziawszy z triumfem ostatnie słowo zjadliwej tyrady, Margot Blainey obróciła się na pięcie i wyszła, zatraskując za sobą drzwi.

A Tessa została w holu, znieruchomiała, milcząca, zupełnie odrętwiała z zaskoczenia, rozgoryczenia i ogromnego żalu.

Miała wrażenie, że to nie teściowa zmarłej siostry, ale jej własne szczęście odwróciło się do niej plecami i że na glucho zatrzasnęły się przed nią nie najzwyklejsze w świecie drzwi domu w Greyrigg Rise, lecz bramy rajy na ziemi, do którego spodziewała się wstąpić jako ukochana i kochająca żona Charliego.

Poczuła się oszukana, załamana, zdruzgotana.

Poczuła się cynicznie w swojej naiwności wykorzystana i wystawiona na pośmiewisko!

- Nieba! Jak on mógł mi to zrobić? - westchnęła z goryczą.

- Przecież on nie mógł tego zrobić! On tego na pewno nie zrobił, panno Flanagan! To są tylko złośliwe wymysły tej wiedźmy! - odpowiedział jej z góry jakiś sympatyczny głos.

Głos rozsądku?

A może głos osobistego anioła stróża?

Nie. To był po prostu głos Emmy, która przycupnęła z wystraszonym Benem w objęciach na półpiętrze i wysłuchiwała perory pani Blainey.

- A jeśli nie? - odezwała się posepnym, sceptycznym tonem Tessa.

- Ojej! - jęknęła Emma. - To wtedy pani za niego nie wyjdzie, prawda?

- Nie wyjdę - potwierdziła Tessa.

- Ojej! I zwolni mnie pani z pracy, i już nie będę nianią Bena.

Rozzälona Emma nie zdołała się pohamować i wybuchnęła płaczem.

Ben natychmiast do niej dołączył, Tessa również poczuła, że łzy napływają jej do oczu i zaczęła pochlipywać.

- Dostyc już tego beznadziejnego mazgajstwa! - wykrzyknęła po chwili, próbując wziąć się w garść i przy okazji opanować sytuację. - Naprawdę ci zależy na tej pracy? - zwróciła się do Emmy.

- Ojej... tak... - chlipnęła młodziutka niania. - Bardzo mi zależy, panno Tesso! - dodała, pośpiesznie przełykając łzy i ocierając oczy rękawem.

- A dlaczego?

- No, bo widzi pani, to było tak, że pani Christine Blainey przyjęła mnie do Bena, kiedy miałam dopiero piętnaście lat i nikt inny nie chciał mi dać żadnej roboty, bo byłam wtedy za młoda i właściwie nic konkretnego nie

umiałam. A ojczym wyganiał mnie z domu i musiałam nocować w parku!

- Naprawdę?

- Słowo!

- Mój Boże.

- I teraz też nie mam się gdzie podziac w Keswick, bo ojczym nadal mnie nie cierpi. I bardzo polubiłam Bena, i bardzo bym chciała z nim zostać, nawet gdyby pani nie mogła płacić mi pensji.

- A jakbym cię tak musiała na dodatek wywieźć aż do Australii? - spytała Tessa, uzmysłowivszy sobie, że gdyby wynajęła komuś dom siostry, zamiast w nim mieszkać, wróciła z Benem i Emmą do własnego mieszkania w Melbourne i do swojej pracy w szpitalu, to najprawdopodobniej byłaby w stanie zapewnić względnie przyzwoity codzienny byt trzem osobom.

- Pojadę, panno Flanagan! - wykrzyknęła z przejęciem Emma. - Pojadę z panią i z Benem nawet na koniec świata - zapewniła uroczyście. - Tylko proszę mnie nie odsyłać do Keswick, do matki i ojczyma!

- Zostaniesz ze mną, mała, masz to jak w banku - stwierdziła Tessa. - Na pewno nie odeślę cię do Keswick, ani Bena do Newcastle.

- Cudownie!

- Ale odeślę Charliego do wszystkich diabłów - wybuchnęła - jak tylko się tu zjawi i znów spróbuje mydlić mi oczy, że chce się ze mną żenić nie dla majątku stryja, tylko z miłości!

- Szkoda. I powie mu pani, że wyjeżdżamy do Australii? - spytała Emma.

- Jasne, że powiem! Zaraz mu powiem! I nawet nie będę czekać, aż raczy się zjawić, tylko sama go znajdę i wszystko mu po kolei wygarnę!

Słuszny gniew pozwolił Tessie wyrwać się z apatii, dodał jej sił i zdopingował ją do czynu. Postanowiła natychmiast uporządkować własne sprawy i wziąć je we własne ręce.

Dlatego, zostawivszy tymczasem Bena pod opieką niani, wyprowadziła z garażu kilkunastoletniego minimorrisa, którym Christine jeździła tylko do pobliskiego Keswick po zakupy i wyruszyła tym sfatygowanym małolitrażowym wehikulem na wyprawę wojenną... to znaczy na

poszukiwanie Charliego Camerona!

W zamku go nie znalazła.

W pobliskim domu sędziwych państwa Humphreyów również nie.

Na odległej o dwie mile farmie skierowano ją dalej, na północny wschód.

- Tamten folwark nazywa się Highrigg - poinformowała Tessę jakaś starsza kobieta.

- I też należy do lorda Dalstona?

- Jak wszystko tutaj, w całej okolicy, kochaniutka! Stąd, gdzie teraz jesteście, możesz sobie jechać tym swoim autkiem pół godziny w każdą stronę i nie wyjedziesz poza granice lordowskich posiadłości.

W Highrigg starszawy jegomość o ponurym wejrzeniu, który na sygnał piskliwego klaksonu minimorrisa wyszedł do furtki w asyście sześciu groźnych brytanów, burknął do Tessy schrypniętym głosem:

- Lord tu był, paniusiu, ale pojechał już dalej, do Westfell.

- To też jego farma?

- A juźci, tfu, do licha! - potwierdził farmer, spluwając i przeklinając.

- Nie rozumiem pana... - odważyła się bąknąć Tessa,

- A jaki tam ze mnie pan, tfu, do licha, paniusiu! - wybuchnął jej rozzłoszczony rozmówca. - Przez całe życie siedzę na dzierżawie i haruję na czynsz dla jakiegoś tam darmozjada! Myślałem kupić wreszcie bodaj spłachetek ziemi i chociaż zembrzeć na swoim, paniusiu, a on tymczasem, tfu, do licha.

- A on co? - zainteresowała się TesSa.

- Jak to, co? On się żeni, ten młody lord Dalston, tfu, do licha, żeni się przed trzydziestką, paniusiu, tak jak mu to stryj nieboszczyk nakazał w testamencie! I przez to dziedziczy całe grunta, paniusiu, i nie wystawia nic na sprzedaż, znaczy na tę tam jakąś, tfu, do licha, libację czy jak.

- Licytację - podpowiedziała farmerowi Tessa.

- A niech i tak będzie, tfu, do licha, paniusiu! I niech tego lorda i tę jego lafiryndę wszyscy diabli wezmą, za to, że człowiek nie może sobie kupić

choć splachetka i przynajmniej zembrzeć na swoim, jak prawdziwy pan! Uch, jak ja bym tę damulkę dostał w swoje ręce, tfu, do licha, paniusiu, to ja już bym jej...

Zakłopotana i wystraszona nie na żarty Tessa nie poczekała nawet na koniec zdania i ostateczne sformułowanie groźby, tylko pośpiesznie wsiadła do swego wehikułu, modląc się w duchu o jedno: żeby zapalił i sprawnie ruszył z miejsca.

Udało się, na szczęście!

Zacietrzewiony i rozżalony farmer został w Highrigg, w hałaśliwym towarzystwie swoich sześciu psów, a ona ruszyła sfatygowanym, ale wciąż dziarskim minimorrisem w stronę Westfell.

Jechała jeszcze bardziej wściekła na Charliego, niż przedtem.

Jak on mógł tak postąpić? – zżymała się. – Nie dość, że mnie oszukał, to jeszcze zniweczył nadzieje tych wszystkich ludzi na poprawę bytu.

Jak on mógł! – powtarzała z oburzeniem w myślach. – Mało mu farmy w Australii, apartamentu w Londynie, zamku Castleriggi że jeszcze na tych wszystkich tutejszych gospodarstwach koniecznie chce położyć łapę?

Wielkie nieba!

I na dodatek jeszcze mnie chce do tego niecnego procederu wykorzystać?

Niedoczekanie, milordzie!

Tak w duchu pomstując, dojechała do Westfell, zaparkowała przed bramą folwarku i wyskoczyła jak furia z minimorrisa.

I wpadła prosto na Charliego Camerona, który właśnie otwierał szerokie folwarczne wrota, chcąc wyprowadzić jaguara z dziedzińca i udać się w dalszy objazd swoich włości.

Uśmiechnął się do Tessy i zdziwiony zapytał:

– Skąd się tu wzięłaś, najdroższa?

A ona stanęła z ponurą miną naprzeciwko niego, w odległości mniej więcej trzech kroków, wzięła głęboki oddech i wybuchnęła:

– Już teraz wiem, jaka jestem dla ciebie droga, Charlie, już teraz dobrze wiem!

- Nie rozumiem.

- Jestem dla ciebie warta tyle, co tysiące akrów ziemi, setki farm i folwarków, razem z zabudowaniami i na dodatek prawie całe miasteczko w okolicy zamku. Jestem dla ciebie tyle warta do dnia ślubu, do chwili podpisania małżeńskich dokumentów. Bo potem nie będę warta już nic, całkiem nic, zupełnie nic.

- Boże! Kto ci naopowiadał takich bredni? - zachnął się Charles i postąpił krok do przodu.

- Nie zbliżaj się do mnie, nie dotykaj mnie, nie waż się mnie dotykać! - histerycznym tonem wykrzyknęła Tessa, z najwyższym trudem powstrzymując się przed uderzeniem w głośny płacz.

Charles przezornie znieruchomiał tam, gdzie stał i powtórzył swoje pytanie:

- Kto ci naopowiadał takich bredni?

- Po pierwsze, Charlie, to nie są żadne brednie, tylko najprawdziwsza prawda, dobrze wiesz. A po drugie, to Margot Blainey poinformowała mnie o wszystkim - wyjaśniła Tessa. - Margot Blainey otworzyła mi oczy, wytknęła mi moją naiwność. I ja już teraz wiem, na czym polega ta twoja oszukańcza rozgrywka.

- Ależ, kochanie, zlituj się, przecież to wcale nie jest tak!

- A niby jak? Może nie jesteś właścicielem tysięcy akrów ziemi w całej krainie jezior? I setek nieruchomości? I prawie całego miasteczka?

- Nnno, fakt, jestem, nie da się ukryć - wykrztusił zakłopotany Charles, opuszczając nisko głowę. - A właściwie... dopiero będę... po ślubie.

- Ale nie ze mną, trzynasty lordzie Dalstonie! Nie po ślubie ze mną! - wykrzyczała mu Tessa prosto w twarz. - Ożeń się z kimś innym, jeśli zdążysz i zdzieraj czynsze za dzierżawę ziemi z tych biednych ludzi w całej okolicy Castlengg, tak jak to przedtem robił twój stryj, dwunasty lord i jedenastu poprzedników!

- Ależ, kochanie...

- Zdzieraj czynsze, pilnuj swojego lordowskiego zamku i pilnuj swojego lordowskiego nosa!

- Ależ...
- A o mnie bądź łaskaw zapomnieć!
- Kochanie...
- I zabierz sobie z powrotem ten swój brylantowy pierścionek! A nuż ci się jeszcze przyda dla jakiejś innej naiwnej? A nuż twój osobisty urok jeszcze podziela na jakąś inną głupią geś?

Rozżalona, roztrzęsiona, wyprowadzona z równowagi cisnęła puzderko z zaręczynowym brylantem prosto pod nogi zdeprymowanemu mężczyźnie, którego jeszcze kilka godzin wcześniej uważała za narzeczonego. Po czym, rzuciwszy mu na pożegnanie naznaczone gorzkim wyrzutem spojrzenie, wsiadła do sfatygowanego minimorrisa i odjechała.

Charles Cameron został sam. Przez dłuższą chwilę stał w bezruchu, aż w końcu schylił się, podniósł z ziemi pierścionek i machinalnie schował go do kieszeni.

A potem wyprowadził z dziedzica jaguara, zatrzasnął za sobą masywną, kutą z żelaza bramę folwarku Westfell, wsiadł do samochodu i ruszył przed siebie, wymuszając na szybkim przecież pojeździe prędkość bliską jego maksymalnym możliwościom, a zatem niebezpieczną. Godną oszalałego kawalerzysty albo po prostu straceńca.

Charles Cameron, trzynasty lord Dalston, nie zatrzymał się ani nawet nie zwolnił, pędząc pustawymi na szczęście, bocznymi, lokalnymi drogami angielsko-szkockiego pogranicza, póki nie dotarł do zamku Castlerigg.

Tam zaparkował przed bramą i wysiadł.

Wbiegł na zamkowy dziedziniec i wspiął się pośpiesznym krokiem na swoją ulubioną północno-wschodnią wieżę.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Minęły trzy tygodnie.

Tessa Flanagan, która skontaktowała się wcześniej telefonicznie z dyrekcją swojego szpitala w Melbourne i uzyskała przedłużenie dwutygodniowego urlopu, była już prawie gotowa do wyjazdu do Australii, razem z małym Benem Blaineyem i jego nianią.

Ben bawił się w swoim pokoiku na górze, a one z Emmą pakowały właśnie w salonie na parterze jakieś ostatnie bagaże, gdy usłyszały warkot podjeżdżającego pod dom samochodu.

Czyżby to znowu ta wiedźma Margot Blainey? – pomyślała Tessa z niechęcią.

– To czarny jaguar! – zawołała Emma, która zamiast zachodzić w głowę, kto przyjechał, po prostu podbiegła do okna i wyjrzała.

– Charlie?

– Nie, jakiś starszy pan.

A więc to jednak nie on! – pomyślała Tessa, po trosze z ulgą, po trosze jednak z podświadomym rozczarowaniem. Więc to nie Charlie. To ktoś inny, kto ma po prostu taki sam samochód. Tylko kto?

– Otwórz drzwi z łaski swojej, Emmo, i zapytaj tego starszego pana, kim jest i o co mu właściwie chodzi – poprosiła.

Młoda niania, zaciekawiona i wyraźnie podekscytowana przybyciem nie zapowiedzianego gościa, wybiegła do holu, skoro tylko rozległ się dźwięk dzwonka.

Za moment wróciła, również biegiem, żeby oznajmić:

– Panno Flanagan, ten pan mówi, że przyjechał z Londynu, nazywa się Henry Robertson i musi koniecznie z panią porozmawiać!

– Poproś go – odezwała się Tessa i czym prędzej przysiadła w fotelu, poczuła bowiem nagle, że ze zdenerwowania nogi uginają się pod nią i lada chwila mogą odmówić jej posłuszeństwa.

Czyżby coś stało się Charliemu? – myślała gorączkowo. – Czyżby popełnił jakieś głupstwo? Czyżby...

- Co z nim?! - krzyknęła, ledwie Henry, z szoferską czapką w rękę, stanął w progu salonu. - Na litość boską, panie Robertson, niech pan natychmiast siada i mówi, co się dzieje z Charliem!

- Nic, panno Flanagan - mruknął pośepnie starszawy kamerdyner, posłusznie zajmując miejsce na skraju jednego z krzesel.

- Nic złego? - upewniła się Tessa.

- Nic, panno Flanagan. Ale i nic dobrego - odparł ze smutkiem Henry.

- A gdzie on w tej chwili jest?

- W zamku. Był ostatnio trochę w Londynie, debatował z prawnikami i w końcu zażyczył sobie, żebym go odwiózł do Castlerigg. Więc odwiozłem go. I właśnie stamtąd wracam. No i po drodze wstąpiłem do pani, tak jak mi moja Mary nakazała jeszcze przed wyjazdem.

- Czy Charlie... znaczy lord Dalston... sam jest w zamku? - spytała Tessa.

- Sam, panno Flanagan - potwierdził melancholijnym tonem Henry. - Sam jak ten palec.

- I co on tam robi?

Usłyszawszy to pytanie, kamerdyner lorda Dalstona najpierw otarł kraciastą chustką do nosa kroplisty pot, który obficie wystąpił mu na łysawe czoło, potem głęboko westchnął, a w końcu odkaszlnął i odchrząknął, najwyraźniej przygotowując się w ten sposób do wypowiedzenia jakiejś strasznej prawdy.

Ostatecznie jednak szepnął tylko:

- Panno Flanagan, ściany czasami mają uszy. Może byśmy tak wyszli?

Tessa wzruszyła ramionami.

- Skoro panu tak zależy, to wyjdźmy - zgodziła się, zaskoczona, a równocześnie mocno zaintrygowana dosyć dziwacznym zachowaniem Henry'ego.

Skierowali się nad niedalekie jezioro Derwent Water, na przystań. Zatrzymali się tuż nad brzegiem leciutko sfalowanej, połyskującej w letnim słońcu niczym płynne srebro wodnej tafli.

- No więc, cóż Charlie porabia w zamku, panie Robertson? - powtórzyła

pytanie Tessa.

Henry zdjął czapkę, znów otarł czoło, znów westchnął, odkaslnął i odchrząknął, a następnie, rozejrzawszy się uważnie dookoła, stwierdził:

- Panno Flanagan, tylu letników się tu kręci, na przystani. Może byśmy tak wynajęli łódkę i odpłynęli trochę dalej?

Tessa w pierwszym momencie miała zamiar ostro odpowiedzieć kamerdynerowi lorda Dalstona, żeby przestał wreszcie zabawiać się z nią po dziecinnemu w spiskowca czy asa wywiadu i albo mówił od razu, co ma do powiedzenia, albo dał jej święty spokój. Jednak spostrzegłszy, jak ogromne zakłopotanie i zatroskanie maluje się na jego pocziwym obliczu, zmiękła i stwierdziła:

- Skoro panu aż tak zależy, panie Robertson, to wynajmijmy.

Przeznaczone do spacerowych, przybrzeżnych przejażdżek po jeziorze niewielkie łódki były wyposażone w pojedynczą parę wiosel i prosty ster.

Henry w roli wioslarza i Tessa w roli sternika zajęli miejsca naprzeciwko siebie, on tyłem, a ona przodem do kierunku rejsu i wypłynęli z przystani.

- Proszę sterować z łaski swojej na jezioro, panno Flanagan, nie wzdłuż brzegu, bo tu wszędzie letnicy, plażowicze... - mruknął kamerdyner i zaczął energicznie wymachiwać wiosłami.

Po kilkunastu minutach uderzyły na niego z gorąca i wysiłku siódme poty. Na twarzy zrobił się nagle czerwony niczym burak i zaczął chwytać powietrze z wyraźnym trudem, głośno posapując.

- Na litość boską, panie Robertson, niech pan już sobie da spokój z tym wiosłowaniem, bo jeszcze mi pan w końcu dostanie apopleksji na samym środku jeziora! - wykrzyknęła przestraszona Tessa.

Henry posłusznie przestał wiosłować. Otarł pot z czoła, wziął kilka głębszych oddechów, rozejrzał się z uwagą.

- Faktycznie, jesteśmy na środku, panno Flanagan - stwierdził.

- I z całą pewnością nikt nas nie słyszy, więc niech mi pan wreszcie powie, cóż takiego lord Dalston robi sam w zamku?

- Pije, panno Flanagan - grobowym głosem wyznał kamerdyner.

- Jak to, pije, panie Robertson? - rzuciła zaszokowana Tessa.

- Pije z rozpaczy, czyli zalewa robaka, jak powiadają prości ludzie - wyjaśnił ze smutkiem Henry. - Zabrał ze sobą do zamku cały kontener wysokoprocentowej szkockiej whisky, panno Flanagan, sześć półkwartowych butelek, czyli razem przeszło trzy litry! I zapowiedział, że opróżni je wszystkie, jedną po drugiej, bez zakąski, bo na frasunek nie pomoże mu już nic innego, tylko trunek.

- Nieba! - jęknęła Tessa. - Przecież on się tam spije do nieprzytomności i jeszcze narobi jakichś głupstw! Czemu, do licha, zostawił go pan samego, panie Robertson? - natarła z pretensjami na kamerdynera.

- Bo mnie odprawił, panno Flanagan, kazał mi jechać do Londynu.

- To trzeba było go nie słuchać!

- Przecież ja, jako służący, muszę słuchać poleceń, które wydaje mi mój chlebodawca - obruszył się Henry.

- A poza tym, panno Flanagan... - W zakłopotaniu zawiesił na moment głos.

- Tak?

- Poza tym doszedłem do wniosku, panno Flanagan, że nawet jak zlekceważę służbowe polecenie lorda Dalstona i zostanę, i wypiję z nim do spółki tych sześć butelek whisky, po trzy na głowę, to i tak mu nic nie pomogę, bo jemu przecież nie jest w stanie pomóc nikt inny, tylko pani! - wyrzucił z siebie kamerdynier.

- Ja?

- Tak! Tylko pani może pomóc lordowi Dalstonowi - powtórzył dobitnie Henry. - To właśnie mi moja Mary powiedziała przed wyjazdem.

- Ale dlaczego ja?! - z udawanym po trosze zdziwieniem wykrzyknęła Tessa.

- Bo pani jest damą jego serca, panno Flanagan! Bo on panią szczerze kocha i teraz cierpi właśnie przez to, że pani z nim zerwała!

- Zerwałam z Charliem, bo mnie oszukał, panie Robertson! - wyjaśniła lodowatym tonem Tessa. - Chciał mnie wykorzystać jako narzędzie w walce o schedę po stryju. Chciał się wzbogacić moim kosztem i kosztem farmerów

z okolic Castlerigg, którzy po przeprowadzeniu procesu spadkowego byłiby zmuszeni płacić mu czynsz za dzierżawę uprawianej ziemi i wykorzystywanych zabudowań.

- Ależ, panno Flanagan, to wcale nie jest tak! - jęknął Henry. - Lord Dalston naprawdę panią kocha! A jeśli chodzi o farmerów...

- Ano właśnie, panie Robertson! Miałam trzy tygodnie temu okazję porozmawiać sobie w Highrigg troszeczkę dłużej z jednym z nich. Oni podobno mogliby wykupić użytkowane gospodarstwa, jeśli Charlie ich nie przejął i trafiłyby na licytację.

- Panno Flanagan, to wcale nie jest tak! - wykrzyknął powtórnie kamerdyner. - Ci biedni ludzie nie wiedzą... nie są zorientowani... że jeśli pan Charlie, trzynasty lord Dalston, nie przejmie spadku po stryju, dwunastym lordzie Dalstonie, to wtedy, zgodnie z wytycznymi testamentu, ruszy lawina, która ich wszystkich zmiecie! Albo i zmiażdży - zakończył posepnym tonem.

- Jak to?

- Ano tak! Proszę tylko posłuchać: zamek zostanie sprzedany Amerykanom, którzy odremontują go po swojemu i urządzą w nim hotel, a wokół niego zbudują ogromny park rozrywki.

- Coś w rodzaju nowego Disneylandu?

- Właśnie - przytaknął z wyraźnym niesmakiem Henry Robertson - takiego w historycznym stylu, z przebranymi rycerzami w plastikowych zbrojach i duchami w białych prześcieradłach.

- No i co?

- Turyści z całej Anglii, i nie tylko, bo z kontynentu pewnie też, i może nawet zza oceanu, zaczną się zjeżdżać do Castlerigg na weekendy, na wycieczki, na urlopy. Znajdą się w związku z tym inwestorzy zainteresowani budową dróg, parkingów, kempingów, restauracji, supermarketów.

- Czy to źle?

- Proszę posłuchać dalej. Wszystkie okoliczne farmy trafią na licytację, owszem. Ale ceny gruntów pójdą w górę i osiągną taki wysoki poziom, że żaden rolnik nie zdoła wykupić bodaj akra.

- I co wtedy?

- Wszyscy dotychczasowi dzierżawcy będą zmuszeni po prostu się wynieść, bo nowi właściciele nie przedłużą z nimi umów.

- Dlaczego?

- Bo będą inwestowali w dochodową turystykę, a nie w pracochłonne i niezbyt opłacalne rolnictwo, panno Flanagan! I przez to ludzie z okolic Castlerigg pójdą na tułaczkę. Młodszy może zacząć wszystko od nowa gdzieś indziej, kto wie? A starsi trafią na resztę życia do przytułków i tyle! Tych pierwszych lawina wymiecie, a tych drugich zmiażdży, jak mówiłem.

- A co się stanie z tymi ogromnymi pieniędzmi, uzyskanymi ze sprzedaży zamku i farm w jego okolicy?

- Bardzo trafne pytanie, panno Flanagan! - przyznał kamerdyner. Po czym ciężko, boleśnie westchnął i wyjaśnił Tessie zdławionym głosem: - Te pieniądze zostaną zamrożone na specjalnym koncie bankowym, zgodnie z testamentem dwunastego lorda Dalstona. Przykro mi to mówić, ale nie był on dobrym człowiekiem za życia i włożył wiele wysiłku w to, żeby bezinteresownie zaszkodzić własnemu bratankowi oraz wielu Bogu ducha winnym ludziom również po swojej śmierci.

Henry Robertson umilkł. Ponieważ z emocji mocno drżały mu dłonie, zacisnął je ponownie na rękojeściach wioseł i zaczął nimi energicznie przebierać.

Tessa, odpowiednio manewrując sterem, skierowała łódkę w stronę brzegu, do przystani w Greyrigg Rise.

- Wracajmy! - oznajmiła kamerdynerowi. - Trzeba coś zrobić, trzeba jakoś pomóc Charliemu!

- Moim skromnym zdaniem, jest tylko jedna możliwość, panno Flanagan. Wie pani, jaka?

- Załóżmy, że się domyślam, panie Robertson - odpowiedziała z pewną rezerwą. - Ale, tak czy inaczej, bez względu na moje domysły, powinniśmy teraz pojechać do Castlerigg, prawda?

- Zgadza się, panno Flanagan! - wykrzyknął uradowany obrotem spraw Henry. - Powinniśmy tam obydwójce pojechać, tak właśnie mi moja Mary

powiedziała przed wyjazdem. I to możliwie jak najszybciej, panno Flanagan, żebyśmy dotarli na miejsce, zanim lord Dalston opróżni szóstą butelkę szkockiej whisky i...

- Zacznie wyprawiać jakieś głupstwa?
- Właśnie!

Dopłynęli do brzegu, zostawili na przystani łódkę i w pośpiechu wrócili do domu.

Henry zaczął w salonie, a Tessa natychmiast pobiegła na górę do dziecięcego pokoju i odszukała Emmę.

- Muszę wyjechać na dzień z panem Robertsonem, żeby pomóc Charliemu - oznajmiła opiekunce małego Bena.

- Proszę jechać nawet na dwa, my sobie tutaj doskonale poradzimy - odpowiedziała niania. - I proszę wrócić z pierścieniem - dodała, z lekka się rumieniąc. - A najlepiej od razu z panem Charlesem!

Tessa nic nie odpowiedziała na te słowa, ale w kilkanaście minut później już siedziała na przednim siedzeniu jaguara obok Henry'ego Robertsona i pędziła wraz z nim do zamku Castlerigg.

Jechała do Castlerigg i gotowa była wszelkimi sposobami ratować Charliego Camerona, trzynastego lorda Dalstona, przed niebezpiecznym upojeniem alkoholowym i zabójczą depresją, a jego poddanych, niebogatych, osiadłych na dzierżawach farmerów, przed utratą domostw, pól i możliwości spokojnego życia.

- I była gotowa, oczywiście, ratować również swoją miłość do Charlesa!
- I swoje najpiękniejsze nadzieje.
- I najwspanialsze marzenia.

Dojechali do Castlerigg w ciągu godziny, ale Charliego tam, niestety, nie znaleźli. Nie było go ani na żadnej z trzech wież, ani w zamkowych piwnicach. Nigdzie nie było również sześciu butelek whisky, ani pełnych, ani opróżnionych.

- Boże, co mogło się stać? - nie na żarty przeraziła się Tessa.

- Może jeszcze nic złego, panno Flanagan - starał się ją uspokoić Henry. - Może pan Charles jest u staruszków Humphreyów?

Domysły kamerdynera okazały się trafne. Sędziwa pani Humphrey oświadczyła nie zapowiedzianym gościom, że lord Dalston istotnie przebywa w jej domu, ale zamknął się w małym pokoiku na tyłach i nie chce z nikim rozmawiać.

- Z panną Flanagan chyba jednak zechce - powiedział z nadzieją w głosie Henry. - Bo jak mi właśnie mówiła moja Mary przed wyjazdem...

- Skoro tak, to spróbuję zaanonsować! - stwierdziła pani Humphrey, przerywając kamerdynerowi jego wywód.

- Nie trzeba - odezwała się Tessa. - Myślę, że może będzie lepiej, jeśli spróbuję tam wejść bez zapowiedzi. Z zaskoczenia.

- To ja tylko panią poprowadzę pod drzwi.

Drzwi były stare i solidne, jak cały dom, który liczył sobie pewnie ze dwa stulecia i był w pełnym tego słowa znaczeniu historycznym zabytkiem.

Tessa z wysiłkiem nacisnęła ciężką, mosiężną klamkę. Masywne drzwi uchyliły się z dosyć upiornym skrzypnięciem. Wzięła głęboki oddech i wsunęła się do mrocznego wnętrza.

Charlie siedział w rozłożystym skórzanym fotelu, tyłem do wejścia. Przed sobą, na staroświeckim biurku z ciemnego dębowego drewna, słabo oświetlonym niewielką lampką o podstawie z misternie grawerowanego mosiądzu, miał jakieś dokumenty, szklankę i sześć ustawionych szeregiem półkwartowych butelek whisky.

Wciąż jeszcze pełnych, na szczęście.

Wciąż jeszcze nawet, co do jednej, szczelnie zakorkowanych.

Wpatrzony w swoje papiery, a może po prostu zatopiony w głębokich rozmyślaniach, Charlie Cameron nie zwrócił najmniejszej uwagi ani na głośnie skrzypnięcie wiekowych drzwi, ani - tym bardziej - na ciche, ostrożne kroki Tessy, która z duszą na ramieniu przeszła przez pokój i zatrzymała się tuż za fotelem.

Dopiero gdy usłyszał swoje imię, wypowiedziane przez nią zdławionym, z emocji aż lekko ochrypniętym głosem, drgnął i powoli, z wyraźnym

ociąganiem się, jakby nie wierzył własnym uszom i oczekiwał raczej jakichś słuchowych halucynacji niż faktycznych odwiedzin, zerknął przez ramię do tyłu.

- Tessa? - odezwał się niepewnym tonem.

- Tak, Charlie.

- Skąd się tu wzięłaś?

- Przyjechałam z Henrym.

- Skąd?

- Z Greyrigg Rise.

- Po co?

- Po mój... pierścionek... - wykrztusiła Tessa. - Chcę go otrzymać z powrotem!

Charles Cameron wzruszył obojętnie ramionami.

- Cóż, weź go sobie, jeśli ci na tym zależy - mruknął, wyjmując z kieszeni puzderko z brylantem i kładąc je na skraju biurka.

- Ale ja chcę wziąć sobie ten pierścionek razem z tobą! - palnęła Tessa, która w nagłym przypływie odwagi zdecydowała się postawić wszystko na jedną kartę i nie bawić się w związek z tym w żadną dyplomację. - Bo ja chcę za ciebie wyjść za mąż, Charlie!

- Zwariowałaś?

- Nie! - zaprzeczyła energicznie. - Jestem przy całkowicie zdrowych zmysłach.

- W takim razie chyba żartujesz sobie ze mnie.

- Zamiast pleść głupstwa, Charlie, lepiej wstań i spojrz na mnie! - zniecierpliwiła się Tessa. - Czy ja wyglądam na kogoś, kto jest w nastroju do żartów?

Charles Cameron posłusznie, choć bez nadmiernego pośpiechu, dźwignął się z fotela i powoli wykonał w tył zwrot.

Mrużąc ciemnogrnatowe oczy, mocno podkrażone ze zgrzyoty i znużenia, a przy okazji marszcząc groźnie czoło i strasząc czarne brwi, spojrzał na Tesse.

Stała naprzeciwko niego całkowicie poważna, ogromnie skupiona,

zdecydowanie pewna słuszności swoich racji i gotowa walczyć o ich przeforsowanie aż do upadłego.

Stała naprzeciwko niego podekscytowana, rozgorączkowana, z pałającym z emocji wzrokiem, oblaną rumieńcem twarzą i falującą w gwałtownym, przyspieszonym oddechu pierśią.

Stała naprzeciwko niego zdecydowana na wszystko.

I pełna oczekiwań.

I bardzo, bardzo piękna.

- Więc ty, naprawdę? - wykrztusił.

- Tak, Charlie! Ja naprawdę chcę za ciebie wyjść za mąż! - wykrzyknęła Tessa z przekonaniem.

- Ale dlaczego?

- Bo teraz, po długiej i bardzo szczerzej rozmowie z Henrym Robertsonem już wiem - wyjaśniła nieco spokojniejszym, choć dobitnym tonem - że to... hm... nieporozumienie, które nas trzy tygodnie temu rozdzieliło, wcale nie wyniknęło z twojej winy, Charlie, tylko raczej z winy twojego stryja, dwunastego lorda, który był złym człowiekiem i nawet z za grobu utrudnia ci życie.

- To prawda!

- Ale nie tylko tobie - ciągnęła Tessa - bo również farmerom z okolic Castlerigg, chociaż oni o tym na razie nic nie wiedzą i niesłusznie obwiniają ciebie o chęć wzbogacenia się ich kosztem.

- Zgadza się!

- I na dodatek utrudnią życie mnie, bo ja, Charlie, przecież cię kocham, a przez tę nieszczęsną sprawę z testamentem zerwałam nasze zaręczyny i o mało co nie uciekłam z Benem i Emmą do Australii!

- Najdroższa! - wykrzyknął Charles, po czym podbiegł do Tessy i chwycił ją w objęcia. - Ja też cię kocham, do szaleństwa, więc już myślałem, że oszaleję, gdy wtedy odjechałaś minimorrisem z Highrigg i zostałem sam, bez widoku na twój powrót, bez widoku na nasze małżeństwo, na wspólną przyszłość, na cokolwiek! Po twoim odejściu poczułem się całkowicie bezradny. I pozbawiony wszystkiego: własnych nadziei, własnego szczęścia i

wszelkich szans na udzielenie pomocy tym biednym, spracowanym ludziom, którym mój diaboliczny stryj postanowił zgotować z za grobu ciężki los, choć w niczym mu nigdy nie zawinili ani nawet nie uchybili. Miotalem się przez te trzy straszne tygodnie pomiędzy Castlerigg, Penrith i Londynem, próbowałem za wszelką cenę znaleźć jeszcze jakiś prawniczy kruczek, jakieś ukryte wyjście z sytuacji...

- I co?

- I nie znalazłem. Dlatego z wściekłości, z desperacji, z żalu postanowiłem upić się do nieprzytomności, a najlepiej zapisać się od razu na śmierć, żeby tylko nie cierpieć, nie widzieć, nie pamiętać!

- Na szczęście nie zdążyłeś.

- Na szczęście. Wiesz, coś mnie przed tym powstrzymało, tam, w zamku. Coś mi kazało przyjść tutaj, do Humphreyów i czekać. Coś... jakaś tajemnicza siła.

- A może raczej jakiś opiekuńczy duch? - szepnęła Tessa, tuląc się do Charliego.

- Kto wie, może i duch.

- A może sprawił to duch tej nieszczęsnej Eleonory, która sama umarła z niespełnionej miłości, więc postanowiła doprowadzić do tego, że nasza miłość się spełni?

- Kto wie, może... - powtórzył z zadumą Charles. - A właściwie na pewno! - wykrzyknął, zorientowawszy się, że słowa wypowiedziane przez niego przed chwilą zabrzmiały trochę niejednoznacznie. - Może to sprawiła opieka pięknej Eleonory - uściślił.

- I na pewno sprawiła to opieka poczciwego Henry'ego Robertsona i jego uroczej małżonki Mary, która mu powiedziała przed wyjazdem, żeby koniecznie mnie do ciebie przywiózł - wtrąciła Tessa.

- I absolutnie na pewno sprawiła to nasza miłość - zakończył wylizankę Charles - że ostatecznie nikomu nie stało się nic złego i że znowu jesteśmy razem, najdroższa!

- I zostaniemy razem już na zawsze!

- I ja będę kawalerem jeszcze tylko przez kilka dni, do trzydziestki, a

potem ożenię się z tobą i ty zostaniesz moją najcudowniejszą na świecie lady Dalston!

- O tak, mój wspaniały milordzie, z pewnością najwspanialszy ze wszystkich trzynastu panów na zamku Castlerigg, jakich wydała historia Zjednoczonego Królestwa i szlchetny ród Cameronów - szepnęła Tessa.

I nie zdołała powiedzieć już nic więcej, bo Charlie zamknął jej usta namiętym, gorącym pocałunkiem.

Scandalous

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Tessa i Charles postanowili nie wracać tego wieczora do Greyrigg Rise.

- Zostaniemy na noc tu, w Castlerigg, i podziękujemy pięknej Eleonorze za opiekę. - Ze wzruszeniem, choć po trosze i z rozbawieniem oświadczył Charles zdumionym Humphreyom oraz Henry'emu ogromnie uradowanemu efektami własnej, jakkolwiek podjętej z inicjatywy Mary, pojednawczej misji.

Ruszyli do zamku na piechotę, trzymając się za ręce, już po późnym, letnim zachodzie słońca.

Lipcowe niebo zdążyło już pociemnieć, ale polyskiwały na nim migotliwie niezliczone gwiazdy i wyjątkowo jasno świecił księżyc, który osiągnął akurat stadium pełni i zrobił się okrągły niczym dukat.

Było ciepło, wręcz gorąco, jak przystało na prawdziwie letnią noc. W porastających zamkowe wzniesienie wysokich trawach wielotysięcznym, nastrojowym chórem cykały pasikoniki.

Pusta droga do zamku wila się meandrami, dając dwojgu wędrowcom dość czasu na naprawdę długi spacer i na dokładne przyjrzenie się średniowiecznym ruinom, które, na kształt kamiennej korony, wieńczyły swoimi wieżami i murami szczyt zamkowego wzgórza.

- Ten twój rodowy zamek jest naprawdę bardzo piękny, milordzie - odezwała się w pewnym momencie Tessa Flanagan, ściskając Charlesa Camerona mocniej za rękę i spoglądając mu w oczy.

- Ten piękny zamek będzie już niedługo również twój, milady - stwierdził.

- Henry mi mówił, że jacyś bogaci Jankesi chcieliby go odbudować i urządzić w nim hotel.

- Niedoczekanie! - obruszył się Charles. - Przecież te historyczne ruiny zamieniłyby się wtedy w jakąś nowoczesną makietę starego zamku, w filmową dekorację, zbudowaną według pomysłu scenografów z Hollywood, nie uważasz?

- Chyba tak.

- Wszystko, co prawdziwe, zniknęłoby bez śladu pod warstwą

stylizowanych uzupełnień, jak przysypane lawiną. Powstałby hotel, zaczęliby się do niego zjeżdżać turyści ze wszystkich stron świata, ktoś miałby z tego niezły zysk. Tylko co stałoby się wtedy z zamkowymi duchami?

- Nie wiem.

- Więc się zastanów, czy autentyczne, średniowieczne zjawy i straszdyła mogłyby mieszkać w nowoczesnym hotelu, takim z windami, łazienkami, klimatyzacją? Czy dobrze by się czuły w Castlerigg, zamienionym w zatłoczony i hałaśliwy park rozrywki?

- Ech, chyba nie - szepnęła Tessa, nie chcąc głośniejszym odezwaniem się zakłócać panującej wokół tajemniczej ciszy i budzić licha w postaci średniowiecznych duchów. - Nawet na pewno nie, jak mi się zdaje - dodała trochę bardziej zdecydowanie i na wszelki wypadek, a przede wszystkim na wypadek nagłej konfrontacji z którymś z zamkowych widm, mocniej ścisnęła Charlesa za rękę.

- Właśnie! I dlatego postanowiłem, że wszystko zostanie tutaj tak, jak jest.

- No i dobrze!

- Dzięki tobie, milady - podkreślił trzynasty lord Dalston. - Dzięki tobie szatański plan mojego stryja nigdy się nie urzeczywistni, stary zamek będzie nadal starym zamkiem, wzgórze wzgórzem, farmerzy z okolic Castlerigg pozostaną w swoich domach i będą spokojnie uprawiali swoje pola, a my...

- Zamieszkamy całkiem niedaleko stąd, w Greyrigg Rise, razem z Benem i Emmą, prawda?

- Tak, najdroższa! I będziemy tu żyli długo i szczęśliwie. A żeby nam się na prowincji nie nudziło, odwiedzimy sobie czasem Londyn i Australię.

- I może jeszcze Newcastle, żeby Ben nie zapomniał, jak wygląda jego angielska babcia?

- A może nawet, jak już się rozpędzimy... - odparł ze śmiechem Charles Cameron.

I nagle umilkł.

I natychmiast spowaźniał.

W tym momencie bowiem w przyrodzie zaczęło się dziać coś dziwnego.

Najpierw zerwał się jękliwy wiatr i zanim ucichł, przygnał skądś gęstą jak płynny ołów chmurę, która całkowicie przesłoniła księżyc.

Potem przygasły gwiazdy, kryjąc się za zasloną wilgotnej, lepkiej, lodowatej mgły, która opadła ni stąd, ni zowąd nad zamkowe wzgórze.

Wreszcie wiatr znów jęknął przeciągle i znów dmuchnął, i częściowo rozpędził mgłę.

Charles zatrzymał się w pół kroku, przyciągnął dygocącą z chłodu i strachu Tessę bliżej do siebie i mocno przytulił.

I szepnęła jej:

- Spójrz! Tam na wieży...

Zerknąwszy w stronę północno-wschodniej baszty, zaczęła trząść się w jego objęciach jeszcze mocniej i wykrztusiła zdławionym głosem:

- Boże... tam przecież chyba... ktoś... stoi.

- Nikt inny, tylko Eleonora - stwierdził z przekonaniem Charles.

Tessa z ogromną obawą, ale też z zaciekawieniem, spojrzała jeszcze raz na szczyt wieży.

Ponad wyszczerbionym zwieńczeniem muru coś majaczyło, bielilo się w ciemnościach.

- Ślubna suknia? - szepnęła.

- Nic innego - przytaknął Charles.

- Ale przecież... ty mówiłeś... że piękna Eleonora jest... naga.

- Była naga, kiedy odbierała sobie życie. I tak pokutowała potem, nieszczęsna, na golasa przez ładnych kilkaset lat. Ale pokuta widocznie już dobiegła końca, więc Eleonora włożyła suknię i stała się białą damą, i teraz pewnie zaślubi gdzieś tam w zaświatach swojego ukochanego rycerza, i oboje zamieszkają w naszym zamku, i będą nas straszliwie długo i szczęśliwie.

- Daj spokój, człowieku, ależ ty masz fantazję! - krzyknęła Tessa, zerknąwszy po raz kolejny w stronę baszty. - To przecież była pewnie tylko skłębiona mgła, a nie żadna tam biała suknia białej damy! Wiatr ją tu przywiał znad któregoś z okolicznych jezior i już ją rozwiał, i teraz nie ma po

niej ani śladu.

- Ejże, niedowiarku! - obruszył się Charles. - Wyobrażasz sobie, że jakkolwiek autentyczny duch zostawia po sobie ślady, jak piechur na śniegu albo samochód na piaszczystej drodze? Duch znika i tyle go widzieli! Ale znaki czasami może dawać, nie powiem ci, że nie.

Kolejny gwałtowny podmuch wiatru rozgonił znad zamkowych wież resztki mgły i przegnał dokądś przesłaniającą księżyc chmurę.

Gwiazdy zamigotały na niebie, ukryte w trawach pasikoniki podjęły na nowo swój przerwany na pewien czas koncert. Wokół zamku Castlerigg zrobiło się natychmiast jaśniej, cieplej i bezpieczniej.

- A jaki znak dała nam dzisiaj Eleonora, twoim zdaniem? - spytała Tessa, w chwili gdy zakończyli już wspinaczkę na wzgórze i wkraczali właśnie na zamkowy dziedziniec.

- Skoro ukazała się w białej sukni, to najprawdopodobniej dała nam w ten sposób znak, żebyśmy wzięli ślub nie w Penrith, nie w Londynie, nie w Australii, tylko właśnie tutaj, w Castlerigg - odpowiedział. - Czy zgodzisz się na to, milady?

- Oczywiście, milordzie! - przystała z ochotą Tessa. - A kiedy się tu pobierzemy?

- Już wkrótce!

- Najpóźniej w piątek?

- Tak - potwierdził Charles. - Muszę ożenić się do piątku, żebym zdażył ze ślubem do moich trzydziestych urodzin, które wypadają w tym roku akurat w ostatni dzień przed weekendem.

Na wyniosłości zamkowego muru, tuż ponad bramą wjazdową, w miejscu, z którego podczas szturmów i oblężeń niegdysiejsi obrońcy warowni Castlerigg razili swoich niegdysiejszych wrogów strzałami z łuków i kusz, kamiennymi kulami, wrzącą smołą i bodaj gorącą kaszą, kiedy już innych możliwości nie było, stał kobziarz w paradnym szkockim stroju.

Na zewnątrz zamkowego muru, po obu stronach dojazdowej drogi, tworząc długi szpaler, zgromadzili się okoliczni mieszkańcy, pracowici i

dzielni, choć nigdy, od pokoleń, nie rozpieszczani przez los wygodami czy bogactwem farmerzy z angielsko- szkockiego pogranicza.

Tuż przy bramie, na niewielkim wybrukowanym placyku, zebrała się niewielka grupka specjalnych, najważniejszych gości.

Znalazł się tam mały Ben Blainey ze swoją ukochaną opiekunką Emmą, Mary i Henry Robertsonowie z Londynu, sędziwi państwo Humphreyowie, od wielu lat sąsiedzi i opiekunowie zamku. Nieco na uboczu stała pani Margot Blainey z Newcastle, zaproszona na uroczystość w pojednawczym geście jako angielska babcia Bena.

A w samej zamkowej bramie stał Charles Cameron, trzynasty lord Dalston, pan na Castlerigg.

Stał wyprężony jak struna, dumny jak paw, rozradowany jak skowronek, uszczęśliwiony, jakby się w czepku urodził.

Stał i z niecierpliwością oczekiwał na przybycie swojej oblubienicy, Tessy Flanagan, z którą niebawem miał wziąć ślub na zamkowym dziedzińcu.

W pewnym momencie kobziarz zaczął grać na swoim historycznym instrumencie jakąś tęskną szkocką melodię, dając w ten sposób dyskretny znak wszystkim zgromadzonym, że z góry, z wyniosłości zamkowych blanków, widzi już paradną odkrytą karocę, którą zmierza do zamku panna młoda w asyście mecenasa Edwina Roberta z Penrith.

Gdy wspaniały, sześciokonny, prawdziwie lordowski, a może nawet wręcz królewski pojazd wyłonił się zza ostatniego zakrętu drogi i wjechał w szpaler, utworzony przez weselnych gości, szkocki kobziarz zmienił ton i zagrał głośniej i radośniej.

A wtedy wszyscy zgromadzeni na zamkowym przedmurzu zaczęli głośno i radośnie wiwatować na cześć młodej pary, i bić brawo, i wyspiwywać nie całkiem może harmonijnym, lecz niewątpliwie pełnym entuzjazmu chórem powitalną pieśń, zaintonowaną przez muzyka przyodzianego w kraciatą spódnicę.

Lord Dalston postąpił krok do przodu, wychodząc w ten sposób przed bramę.

Karoca zatrzymała się, jowialny mecenas Roberts wyskoczył z niej i pomógł wysiąść Tessie ubranej w przepiękną długą suknię z trenem, a następnie z atencją podprowadził ją ku narzeczonemu.

Charles Cameron, pan na zamku Castlerigg, trzynasty w dziejach Zjednoczonego Królestwa lord Dalston, najpierw przyklęknął przed Tessą na jedno kolano i ucałował jej dłoń, oddając w ten sposób damie swojego serca prawdziwie rycerski hołd. Następnie wstał, podał jej ramię i uroczyście ją wprowadził na zamkowy dziedziniec.

Na dziedzińcu, starannie wyprzątniętym, oczyszczonym z dzikiego zielska, wyłożonym pośrodku paradnym czerwonym kobiercem i przyozdobionym historycznymi chorągwiami, przed specjalnie na tę niezwykłą okazję wzniesionym polowym ołtarzem, oczekiwali już na państwa młodych pastor, aby udzielić im ślubu.

Charles Cameron, trzynasty z kolei i jak wieść niesie, a historyczne przekazy potwierdzają, najprzystojniejszy ze wszystkich dotychczasowych lord Dalston, ożenił się z uroczą Tessą Flanagan, panną rodem z dalekiej Australii, w piątek, dokładnie w dniu swoich trzydziestych urodzin.

Odziedziczył dzięki temu zamek Castlerigg i jego rozciągające się jak okiem sięgnąć na północ, południe, zachód i wschód przyległości: tysiące akrów ziemi, setki wiejskich zabudowań i jedno, ale za to prawie całe miasteczko.

I uczynił skromną australijską pielęgniarkę lady Dalston, najpiękniejszą, jak wieść niesie, a historyczne przekazy potwierdzają, ze wszystkich dotychczasowych.

I stworzył wraz z nią prawdziwą, kochającą i bezpieczną rodzinę małemu Benowi Blaineyowi.

Ślub Tessy Flanagan i Charlesa Camerona odbył się o zachodzie słońca. A huczne lordowskie weselisko, które miało potrwać do białego rana, okazało się tak bardzo udane, tak fantastyczne, tak radosne dla wszystkich zaproszonych gości, że przeciągnęło się aż do końca weekendu.

**I ja też tam byłam,
Miód i wino piłam,
A jak wytrzeźwiałam –
Romans napisałam!**

Scandalous